

KAMENA

miesięcznik literacki

ROK III

Nr. 8-9

MIESIĘCZNIK LITERACKI

KWIECIEŃ—MAJ 1936 R.

TREŚĆ NUMERU ÓSMEGO—DZIEWIĄTEGO

JÓZEF ŁOBODOWSKI	Fragment poematu .	str. 141
ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA	Konnica — Droga .	„ 143
TADEUSZ BOCHEŃSKI	Bach	„ 144
STANISŁAW BĄKOWSKI	Naiwna limba .	„ 144
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK	Z „Pieśni bez rymów“	„ 145
TADEUSZ SARNECKI	List	„ 145
JULJUSZ WIT	Święty Florjan .	„ 146
JERZY KAMIL WEINTRAUB	Sielanka w Zakopanem	„ 147
JAN ŚPIEWAK	* *	„ 147
WAĆLAW MROZOWSKI	Rozmowa	„ 148
IGNACY GAŚSIOR	Lato	„ 149
ADAM BIELECKI	* *	„ 150
MARJA SZCZEPAŃSKA	W górach	„ 150
STEFAN NAPIERSKI	Przekłady z poezji francuskiej	154
ANTONI MADEJ	Współczesna liryka czeska	„ 157
	Przekłady z poezji czeskiej .	„ 163
SEWERYN POLLAK	Wyrobnik formy .	„ 170
	Przekłady z poezji rosyjskiej .	„ 174
KONST. PAUSTOWSKIJ	Ognie sztuczne w lesie	„ 174
STEFAN NAPIERSKI	Ostatnia książka Brzechwy	184
KAZ. AND. JAWORSKI	Przegląd poezyj .	„ 186
	N O T Y	„ 190

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:

Portret artysty

Redakcja: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawicielstwo i Administr.: Zenon Waśniewski, Chełm Lub.

Reformacka 15 B.

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezeki.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr. Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym (niebieskim). Numer okazowy „Kamena” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 50 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

Opóźnianie w płaceniu prenumeraty powoduje miesięczne opóźnienie w wysyłce pisma ze względu na wysoką opłatę pocztową numerów jako druków.

CENA NUMERU NINIEJSZEGO 1 zł.

Drukowano w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



k a m e n a

miesięcznik literacki

rok III kwiecień — maj 1936 r. nr. 8—9 (28-29)

Ofiarom Krakowa, Częstochowy, Lwowa
i Chrzanowa — krwi robotniczej
hołd składa red. i wyd. „Kamena“

FRAGMENT POEMATU

Dzwoni o sine szybki łoskot pędzących dział,
i sen ulatuje z powiek, gwarem na pół przecięty.
Złocisty obłok kurzawy ponad dachami wstał,
ledwie widnieją w górze cerkwi zielone banie.
Ochryple głosy ludzi, rzenie rumaków, tętenty —
idących burz zwiastowanie.

Na wrotach główki dziecięce, wrony na białych akacjach —
radość zdumionych dłoni, trwożne krakanie, gwar.
Zdaleka gwizdem pociągów lęka się czarna stacja,
ciężko i wolno dysząc, na wschód odchodzi pancerka,
a w sadzie jakgdyby nic:
dom o brzoskwinię się wsparł
i ptak gęstwinę rozćwierkał.

Więc teraz chyłkiem za furtkę w hałas i pył,
dudniącym werblom piechoty na palcach wtórzyć.
Granat dalekiej baterji w ziemię się wrył,
oczy oslepił wybuchem, poplątał rytm gawroszom.
Krzyk w rozstrzaskanym szeregu. Ciała w dymiącej kałuży.
I konie, które się płoszą.

Teraz ulewa żelaza bije w zmartwały port:
wody wysokie wytryski, ognia i dymu jęzory.

Na stepie złota kurzawa. Pochód kałmuckich hord.
Skrzypią kibitki i arby. Wielbłądy garbami chwieją.
Biegną płonące źrenice znużonych, bezsennych, chorych
za uchodzącą nadzieją.

Trzask zamykanych okiennic. W katedrze śpiew,
słowa modlitwy na wargach, gromnice w dłoniach.
Krążą nad sinym limanem mew.
Z krętych uliczek na step czarna wylewa się rzeka.
I coraz bliższe wybuchy. Pótleżąc na karku konia,
pijany jeździec ucieka.

W szpitalu zaduch i smród. Nikt już ratunku nie da.
Siostrzyczce z krzyżem na piersi opadły blade ramiona.
Przez okna śladem biegnących twarze jak kreda,
bredzą parobcy, tyfus palący w żyłach,
miota się młodzik w gorączce:
— „maa-mo, rodzona...
czemużeś mnie opuściła...”

Pod rozwiniętym sztandarem. Bagnet na broń.
Czarne na płaszczach galony Garstka żołnierza.
Twarze ku grzmotom północy. Przy zamku dłoń.
Mroczą się groźne czoła, stepowym wichrem spalone.
W górze gałęzi szum, paruje ziemia świeża —
ostatni postój przed zgonem.

Za nimi step Jehorłyku, walki nad siną Bejsugą,
tysiące nagłych pochodów, wroga szalone szarże —
spływała krew rosyjska szeroką strugą,
stygła na matce ziemi, na popękanych kopytach.
Na kogo palcem pokażę, kogo o krew tę oskarżę,
gdy przyjdzie sąd i zapyta!

Wiedli cię, jasnowęsego, za martwe miasto pod słup,
kolbą trącając w krzyże, byś drogi nie czuł.
Zmydlony powróż na krtani, ziemia ucieka spod stóp,
raz jeszcze złotym wybuchem słońce do powiek —
i nic już... wiatru kołys, mroczny na oczach wieczór,
stepu gasnące pustkowie.

Zawyje stara kozaczka, na ziem się zwali,
popłyną łzy matczyne, niepowstrzymane, sieroce.
Spadną na serce kata, rdzą po błyszczącej stali,
przypomną się w gorączce, w strachu, przed zgonem,

męką znieprawią samotnicze noce,
zatrują serce szalone.

Zacicha morski wiatr, upity wiosną,
ostatnie żagle suną leniwie nad morzem —
szumią stebrzyste oliwki, ale i one posną, —
fala na siwym piachu opada ciszej i rzadziej,
śpi pod księżycem osada — i tylko matka w komorze
znużonej głowy nie kładzie.

Kogo wojuje jej synek, gdzie się podziewa,
kiedyż powróci przez stepy, rzeki i góry wysokie...
A nad zwłokami syna zawodzi mewa,
nigdy w strzemiona nie wstąpi, kosy nie chwyci, —
i zrychtują mu domek bez okien
majsterkowie, stolarze pracowici.

Lećcież, ptaki stepowe, w godzinę krwawego żniwa!
Wyszarpicie oczy młodemu, by zbrodni nie mógł już dostrzec.
Rudoczerwona luna niebo z północy okrywa,
pełną przez pole krzewów skurczone karły —
i śpiewem wojennych pieśni spowiada się śmierci-siostrze
bastjon jutrzejszych umarłych.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

K O N N I C A

Ponieważ jest za wzgórzem, słyhać tylko trąbkę,
ale za chwilę w całej okazałości ukaże się
ta kolumna zdrowych ludzi,
duża ilość koni i chorągiewek
rozmaitych, pełnych męskości.
Wśród całej masy oczu wychylonych łakomie w doczesność
tylko oficer może być traktowany jako indywiduum.
Dama z eleganckiej karjolki
zatrzymanej na boku
przechyla ciekawie w jego stronę skropioną słońcem parosolkę.

D R O G A

Kobiety na obfitych wzgórzach, dojrzałe gdy wieje przepyszny
obnażone dzieci koło furtek [wiatr,
zamknięte same w sobie, doskonałe,
i droga, która przepływa to wszystko — karety, konnica, pogodny
[nadmiar i ruchliwość,
obok chłopa, co pracuje w polu,
zbierając rzepę.

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA

B A C H

Inne pogotowie palców:
 surowe, sprężysto-kamiennie.
 Dźwięki winą się w manowczyk, w pełnię.
 Jeszcze nie walczą.

Z chłodu, co pod widnokrzem,
 wysuwa się wąż przeciwnika.
 Zaplatają, rozplatają się wstęgi.
 Żadna nie znika.

Sieć tętniących kolumnien.
 Dwie, trzy, cztery kolumny ciężą.
 Idą, wąż się, słaniają,
 górami żelaznymi wstają.
 Zwyciężą!

Zbladły, zelżały. Mglą
 są.
 Inne się niemi opowily
 i naprzód prą, dziesięciosiłe.

Mnogo!

Taniec wrogów,
 co się kochają.

Ruja bogów.

Nasycyli się, zapadli w ziemię.
 W kraterze oczom strach:
 widać dno bytu,
 którem przepłynął Bach.

TADEUSZ BOCHEŃSKI (Kraków)

NAIWNA LIMBA

Szumia drzewa człowieczemu zmartwieniu;
 nie może słońce do ciemnych przyłgnąć jodeł,
 zakrzykiwane przez chmur hordę.

Smutno idą drogi polne podgórę. —

Nocą, pod niebem jak jędza ponurem,
 czarna limba cicho do werandy podchodzi,
 miękkim szeptem stara się wszystko osłodzić...

Naiwna kochana limba:

Czy to tak łatwo machnąć ręką
 na zgubę starej radości, która niepostrzeżenie
 wpadła gdzieś pod ziemię? ,
 odrazu uwierzyć, że kiedyś
 zastąpi ją — inna?? —

STANISŁAW BĄKOWSKI

Z „PIEŚNI BEZ RYMÓW“

Gdy brat mój grał na wiolonczeli, śnieg
 Za oknem stawał się wciąż cichszy
 I cztery struny mnie wołały w dal,
 W grudniową białość zamyśloną.

Niesprawiedliwy, senny spokój nasz
 Wydawał mi się wtedy zbrodnią
 I zbrodnią chleb na stole naszym był
 I zbrodnią — węgiel w piecu naszym,

Bo na ulicy stał w ogonku tłum
 I chleb kartkowy otrzymywał,
 Podczas gdy grudzień nad dachami biegł
 I dmuchał w twarz Warszawie śnieżnej.

Za wiolonczelą biegłem, biegłem w dal
 I cztery struny w serce moje
 Wpijały się do bólu i do łez,
 Struny szalone, struny cztery!

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

L I S T

Nad tobą kołuję myślą, jak sokół śmigłoskrzydły,
 ze wszystkich stron otaczam serce twe i twój dom,
 ukrzyżowana tęsknota w każdy nerw wbija igły
 i nigdzie nie mam spokoju, uschnięty pąk.

I słowem wypieśniam wszystko, co było i co nie jest
 — nad miastem zbiera chmura, w nerwach płomienny grom—
 i słucham wichru, który może od ciebie wieje
 i chłodzi palce wzniesionych jak do modlitwy rąk.

Myślałem, że tak łatwo zamknąć jest boleść w usta,
 myślałem, że tak łatwo rozdzielić wspólne dni,
 a oto jak dynamitem napelnia myślami się pustka
 i bunt przeciw rozłące czał się w mojej krwi.

Kiedy na nowo gałąź mych zbuntowanych ramion
 obejmie w miłosnym szepcie pień, co mi daje żyć,
 i ogień, co każde słowo i każdą myśl trawia,
 właściwe spłomienia słowo — usta, które chcą pić!

TADEUSZ SARNECKI

ŚWIĘTY FLORJAN

Brunonowi Schulzowi

Powiadasz przyjacielu
 tą wiosną wycięto
 szumiące jasno jesiony
 dokoła świętego florjana?
 tkwi teraz samotny święty
 w hełmie kamiennym
 w śmiesznych nagolenicach
 po nagie kolana?
 wycięto szumiące jesiony?
 to wielka szkoda
 tam dzień był zawsze zielony
 zawsze była pogoda
 rozkołysana wiosną młodość:
 balon dziecięcy w piękne święto ułanów
 święto dziewczęco majowe
 wtedy siedłem do ciebie:
 święty jerzy
 z ostrą i lśniącą lancą
 by z tobą się zmierzyć
 ścięto srebrne jesiony?
 a zmierzchy liljowe
 zmierzchy płomienne i nieme
 czy także ścięto?
 zmierzchom odpadły głowy:
 maki płonące wśród pól
 już zawsze tym sinym płomieniem
 zapamiętałe płonimy
 kto gaśnie? kto zgasił?
 nie gaśniesz ty ani ja
 huczymy płonimy jak gaz
 o jak trudno zapomnieć
 jak łatwo spa pamiętać jak ból
 ból silniej nas związał niż powróż
 gdy my rośli on z nami rósł
 wtedy to był sen
 prowincjonalny zimowy sen
 przykryty śniegu poduszką
 sen śniący jedwabną wstążką
 gdy myśmy męsko dojrzeli
 rankiem gorzko pachnącym jak cykorja
 a dziewczęta czy są?
 dziewczęta pomarańczowe
 pachnące wanilią i kremem
 dniem niewyczerpanie majowym
 a ojciec twój czy zdrowy?
 czarny donkichot
 w południe śniący pod studnią
 swój sen kolorowy
 na drutach zachodu tańczyły baletnice
 niebo kręgami harmoniki
 rozsnuwało horyzonty
 na zachodzie gorzał
 kwiat słońca
 rozpalony i dziki:
 stupiętrowy pożar
 gdy dywan wzorzysty
 smukłym baletnicom
 podścielał pod stopy
 twój ojciec:
 kupiec zapamiętały wśród śmieci lata
 paw uroczysty

JULJUSZ WIT

SIELANKA W ZAKOPANEM

Dobry wieczór, pani Kaczorowska.

Przypląnął już dobry wieczór.
Zasnęły poczciwe zwierzęta, wtopione w puszystość mroku.
Szkarłatny grzebień koguta zastygł w bezruchu jak wieczność.
Srebrzysta puszystość kota mięciutka teraz jak spokój.
Zły pies, imieniem Almanzor, skłębził kudłatość w półkole.
I tylko białe owieczki płaczą cichutko po polach.

Gwiazdami drga błyszczącymi spokojny nieba granat.
Jest bardzo miło. Nie spada niczyja smutna gwiazda.
Więc pani Kaczorowska śpiewa zamglonym sopranem,
a z okien panny Cecylji rozbrzmiewa Jan Sebastjan.
I jak tu, Boże, pogodzić dwie rzeczy, brzmiące tak cudnie:
śpiew pani Kaczorowskiej i Sebastjana preludja?

U panny Eli i Anki jest cicho i jest pluszowo.
Przez okno można zobaczyć zastygłe oblicza z granitu,
światłami gwiazd osypane.

I długo będzie bezsłowie,
dopóki panna Haneczka nie przyjdzie wierszy przeczytać.
A później będą się dziwić, że dziwna panna Haneczka,
że taka wielka poetka a jeszcze takie dziecko.

Noc zakopiańska się wsłucha w dzwoniący północ zegar,
na ludzi w noc idących księżyc popatrzy ciekawie,
gwiazdy zadrgają srebrniutko i zakolyszą się drzewa,
powiedzą wszystkim dobranoc, na drogę pobłogosławią :

Dobranoc, pani Kaczorowska :

(..śpiewałaś dzisiaj tak cudnie..)

Dobranoc, Janie Sebastjanie Bachu :

(..piękne są twoje preludja..)

JERZY KAMIL WEINTRAUB

* * *

Podpływa strumień liści, pieniać się zielono,
i przez ogród na jezdnię opada rozgrzany.
W flakonach światło tłucze szkło i płonie.
— Jaskółki wyprzedzają dudnienie furmanek. —

I noc zdmuchnięta gaśnie, każąc drzewom kroczyć
i zrzucać dzwonki liści na pachnącą trawę.
Do studni ciągną konie, niosąc smutek w oczach,
i chłepczą mroźną wodę, która tnie i dławi.

Rozchwiana chmura wtedy w ogromnej bajorze
poczyna błędną zwolna, aż powolnie gaśnie.
Wybucha okno pod górę i fruwa jak orzeł.
Strugami spada pluszcząc — jasność.

I tylko zbierać w dłonie i na wargi składać,
nacierać twarz i usta, aż rozpoczną śpiewać,
bo gdy przemienie kropel znikające stado,
zostanie tylko spokój mileżącego drzewa.

JAN ŚPIEWAK

R O Z M O W A

KOBIEŃA MÓWI:

Mały, maleńki mój chłopcze stojący na złotym piasku,
dlaczego ramiona wyciągasz na drugi brzeg czarnej rzeki?
po kwiat dość ręką sięgnąć białą jak twoja nagość
i zamknąć dłonie w kielichu pełnym niebieskich łez.

Wystarczy na piersi spojrzeć wiosną szumiące i świętem,
wystarczy przyłożyć usta do biodr gorących jak wiatr,
wystarczy opuścić ramiona, opasać brązowe plecy,
aby przez chwilę szczęście pełzało u bosych nóg.

O chłopcze, chłopię, chłopiątko! zerwij gałąź wiśni z mych ust,
wpatrzona w trojkąt twych ud, mgły widzę, mgła mię osłania,
kolana dojrzałe się chylą, traw dotykają suchych,
a ty na piasku złotym ku wodzie wyciągasz ramiona.

CHŁOPIEC MÓWI:

Dlaczego jak topielica stajesz codziennie na brzegu
i zasypujesz mnie pijanych słów drżąca wiązanką
odpowiedz — dlaczego
dziewczyno — dziewico — dziewojo?

Wczoraj, gdy włosy pławiłaś w ciemnych źrenicach wód,
myślałem, że żagiew płonie, że jesteś żywą pochodnią —
poszłaś naukos w ciemność — ja prosto w wieczorny chłód —
dziś spotykamy się znowu. Tak miłość łączy się z zbrodnią.

Nie mogę podać ci dłoni. Dzieląca nas czarna rzeka
wysycha bardzo powoli i może nie wyschnie nigdy,
i udom, piersiom i biodrom przyglądać mi się zdaleka,
i wiecznie jednakowo myśleć, że jesteś moczarnym zwidem.

KOBIEŃA MÓWI:

O opalony chłopcze, wczarowany w przybrzeżną łożynę,
oddala nas czar i pragnienie, zbliża zmysłowa noc:
co wieczór o tej porze w półkolkach wiejskie dziewczyny
oddają surowym parobkom najświętszą swoją czerwień
w akcie spienionym.

Nie dotknął mnie nikt z twojej barci —
jeno woda me ciało pieściła dłońmi chłodnemi
i nadawała połysk moim warkoczom,
jeno wiatr przytulał mię do piersi żywicznym ramieniem,
jeno ty raz na mnie spojrzaleś.

CHŁOPIEC MÓWI:

Nie pragnę.

Mnie nigdy nie było w snach twoich smolnych —
ramiona podane do przodu nie pomieszczą sinego horyzontu,
na którym stoisz obca.

Rzęsisty zmierzch przepadnie do jutra
jak koła na wodzie
na wodzie
jak koła.

WACŁAW MROZOWSKI

L A T O

Kościelne południe.

Kwiat szczęścia na ustach usypia.

Chłód się rozsiadł w korycie studni
pod lipą.

Po opłotkach rozkosz młodych wiśni: —
krople nieba i słońca naprzemian;
dróg wierzbowe warkocze, pól przyśpiew
— dzwonią hymny kochanej ziemi.

Dłonie przyszły — dwa białe potoki —
pieścić burzę dawnych drzew w zachwycie,
gdzieś z zastygłej fali śliw u okien
spływa pająk na jedwabnej nici.

Pachną lipy dzwonną pasieką,
wrota w pole wybiegły naościż —
tu cień sadów: Piast-kołodziej czeka
— miodu skopce zastawia dla gości.

Za ogrodem fala niw spieniona,
miedzą niebo do kolan — bławaty.

Ziemia śpiewna,
nienakarmiona
— chaty.

IGNACY GAŚSIOR

Smoking pełnie pod łożko. Lepki gors koszuli
 Zdarty ze skórą ziębi jak bezpłatny smutek.
 Dzień niepotrzebny Pościel zbyt miękka: czysta.
 Sufit grozi. Kaleczą szyby Zegar tyka.
 Kto zbudził? Zasypiałem w płytkim stawie dźwięków.
 Brzęczy jedyna mucha. W ekstazie wita dzień.

ADAM BIELECKI

W G Ó R A C H

Czysty dzień nad posłaniem górnego piętra doliny. Czysty i bez blasku ukośnego białego słońca. Porzucone śpiwory zachowały jeszcze kształt ciepła, schronionego tu przed świtem. Niebo powlokło się białym tłuszczem, parnym łojem pogody, świeci mgławo i nie przepuszcza światła. Wspinaczka — nie... Krew w żyłach bije źle i zawraca, wtedy przechyła się równowaga. Niebo kłuje blaskiem równym i białym, tajemniczym. A o dwadzieścia kroków powyżej zaczyna się już skała, matowa, bez blasku. Droga zarzuci się za skały jak pętla i wejdzie w gęsty granit głębi. Za krągłymi blokami kamienia, w środku organizmu z szarej rtęci, wpłynie na szczyt nową drogą. Nie chcą jej zleniwiałe mięśnie i obojętnie brodzą nogi w zapleśniałych maliniakach. Niepewnie gruchocą osypiste szutry, chwieją się z nimi wąskie kłosa traw. I liście szerokie i mięsiste, darte butem lekko i namiętnie. Patrzą na mętny brudny stawek, zaciekający w torfiaste trawy. Biały powiew blasku i wiatru przeciąga pod nozdrzami. Osuszył łyż? Nerwowe łyż pod zimnym żarem? Wśród rzadkich ziół perlą się czarne bobki kozic. Gdy spałam, kozice przeszły o dziesięć kroków: zwęszyły nas i uciekły. Kozice z góry, gdy pasą się tak jak teraz wyglądają jak małe kucyki, brązowe i wesole, z czarną krótką grzywą, pręgą na grzbiecie. Adam z zapalem studjuje szczeliny, w płaskim notesie wypisuje topografię.

Stacza się z nieba, zupełnie nisko nad głową, gorąca mgła zmiany i gorący hałas. Z wysiłkiem pokonałam łatwe, kruche progi..... Siedzę na płaskiej półce, wmurowanej w grzbiec ty grzęd, obok zjadliwie syczy lina. Zoddali Adam woła, że już brak haków: — nie wiem czy trzymają trawy!. Gęsta, chropawa mgła, to niebo nade mną pękające w deszczu. Góry gliniaste i zgniłe, głębokie. Zielony gorący mróz od nich zbiegł. Zamykam oczy. Burza. Na ścianie wiotki, smukły pająk z na-

krapiąnym rudo brzuszkiem chwieje się jak kłos trawy. Cienkie rusztowanie niepokoju.

Z wysoka głos: — Już nie pójde wyżej. Zwichnęłaś mój zapal. Schodź! Prawie nie patrzy na mnie. Zwija linę. Minuty rosna w godziny na mokrych, opuszczonych inaliniajach przysutych grubo podbiałami. — Prędzaj! — złośliwie przynagla mnie. Zeszłam. Podchodzę pod mętną wodę stawku i patrzę w nią bezmyślnie, oblepiła ją wiejska murawa w stokrotki, byliny górskie. Adam zgrzyta na piargu mocnymi krokami. Jest zły, ale milczy skromnie.

Nagle deszcz ustał. Wiatr osusza rumowiska. Zarosła chmurami cisza pęka:

— Męczy mnie twoje mitologizowanie życia. Życie twoje było trudne, piękne i wstrętne, i szło od dnia do dnia, gdyż nie możesz być ponadśmiertelny. Biorę przykład pierwszy, jaki mi się nasuwa: czyż mieliśmy prawo z biednej i ładnej panny prowincjonalnej robić dziewczynę upadłą, podciągając ją wyżej, niż się sama chciała widzieć, robić z niej puszczającego się demona? Muszę sobie ostatecznie wytłumaczyć drogę, która nas tu przywiodła. Mam wrażenie tu w górach z tobą, że wyrosłam z jakiejś dręczącej i bujnej młodości, że przeszłam gorący i tragiczny okres dojrzewania.

— Zaczekaj! — Adam pokazuje ręką kolebę, która wychyliła się z kosówki nagle odprężeniem — Patos czy mitologja, prawo czy przypadek, jesteśmy razem w górach i pozostaniemy razem przez długie życie. To sens naszej miłosnej drogi, która przyniosła nam pełnię. A teraz coprędzej chowajmy się do tej rozkosznej dziury, bo znowu lunie lada chwila.

W kolebie ciepło. Szary pułap chmur zwiesza się coraz niżej, jak w locie.

— Szkoda tylko, że nie mamy w naszym mieszkaniu łazienki — mówi Adam — a raczej, woda leje się wprost z nieba. I wielką wadą jest nasze w c., tak prymitywne, wśród maliarni. Ale i tak jest dobrze.

— Nie może być lepiej -- wzdycham — ale ja i tak wcale nie jestem zmęczona kulturą. Nie dlatego idę w góry, by topić w modrej wodzie stawu zmęczenie światem. Powiedz, mój drogi, czy my często spotykamy kulturalnych ludzi...

Adam wzdycha komicznie, a zmoczone włosy, gdy wysunął głowę, lśnią. Niebo zakropione deszczem, krople — srebrne rybki. Deszcz. W deszczu zapada noc.

O krok od Adasia przebiegła kozica z młodem. Leżą nad potokiem, zesumowując życie i żal. Adam wszedł w mali-

niaki. Suche parasole podbiału podpierają niebo nad ćwierkliwym potokiem, śnieżne słońce prószы gorącym. Leżę na słonecznym podszyciu ziemi górskiej, słońcem prześwietlonemi palcami wybieram z krzaczków metaliczne i miękkie jagody, myślę o nim. Drobnym, tkliwym punkcikiem znika w krzywiznie pierwszej rysy Powiew rozpruwa ciepło, leżące pomiędzy nim a mną, nasuwa je jak mgławcy woal na widok, aż cały drży w oczach. Ciepło. Adaś lubi kompot borówczany, nabieram... wróci o czwartej. Góry zamykają Adasia. Góry—widok. Adaś—cel widoku? Odwracam głowę do ostrej ziemi, do mszystych liści, włoskowatych łodyg, liści goniących światło, zdaleka chrapie bliski potok, kudłacz, zaufany pies--pusty żal promieniem słońca wydrążony — czyż te rzeczy przeszłe nie przeszły, tutaj w górskich jutrzenkach?

Adamie, kiedy wrócisz z poszukiwań? Patrz: słońce zbierało jeszcze bardziej na poblądłym niebie, a ziemia zaparowała wyziewem ostrym i erotycznym. Zasnę. W parnym, mgławym powietrzu leniwieję, zapominam. Niedobry Adam poszedł sam. Ale wraca o trzeciej na obiad z konserw i na noc miłosną.

Czerwone niebo i wiatr. Jeszcze dziś idziemy do nowej koleby. Dzień schylił się nad godziną szóstą. Nie podniesie się. Mijamy z prawej strony zwarte jeziora kosówki. Niebieski kolor popołudnia skierował się ku zachodowi i zduszony od gorąca szarzeje. Z popękanych płomieni zachodu lecą sztywno, pierzaste chmurki, cynobrowe lśnienie. Przeplłynął wiatr i zmienił obraz, zmacił, zawirował skręcony i otworzył się nad głową mysią, ruchliwą chmurą, nie wróżącą deszczu. Wiatr jest zielony i ciemny, buzuje w kosówkach pod wierchem przechodzącym w ramię innej góry.

Daleko. Gdy zrzucamy worki z rozgrzanych ramion, nad wymoszczoną i cichą kolebą, mieszkaniem nocy miłości (dzień w górach), wiem, że jest to dom pod niebem patrzącem gwiazdami. Oczy Adama, osadzone lekko w cienkich, ciemnych powiekach...

Nad stawkiem, głuchym i jeszcze przezroczywym, zastanawiamy się chwilę. Herbatę zagotowaliśmy nad potokiem, niżej, w bujnej łące, wśród głązów Bezszelestne krążki marszczą się na trawie, ciszej niż można. Wypukłą, niewyraźną ścieżką prześwitujących kamieni wracamy, niosąc wodę w menażkach na jutro. Ciemność rozsunęła się, opadła, zagasiła wieczór. Wcisnęła się pod powieki krzaczastym mchem, lasem. W tumanach ciemnego kurzu ukryły się gwiazdy. Adam przede mną posuwa się jak cień, czasami zadrży kamień. Idę za nim w ciężką i nierzeczywistą ciemność, która pozbawia

czas wartości. Góry zaciśnięte w fałdach grani — czyż nie jesteśmy poddani rzeczywistości, naturze, czyż one są dla nas twardsze i ciemniejsze od ciemności?

Spojrzeliśmy na siebie. Noc drga, czarniawa, i drgają słabo białe pyłki gwiazd, otartych o ciemność. Noc w górach drga gwiazdami. Chciałabym mu podać rękę, żeby nie był sam w przejrzystym, rozwiewnym mchu. Od krańca po kraniec garbatych grani rozlała się cisza. Posuwam się bezwolnie po magnetycznym śladzie Adama. Czarna noc, bez wyrazu, bez głosu. Gdy nagle od kończącej grani stęknął głaz. Niżej i niżej, przez wszystkie warstwy ciemności przebijał się głos wyważonego kamienia. Porwał za sobą lawinę świstów, czarnych, prątkowanych ech. Spadł, plusnął, oniemiał.

Stoimy blisko, ramię o ramię. Człowiek? Zbudzony, goryczy wiatr rozwiął drżące słowa: — nie, to kamień. To noc górską wyparła go z podstaw — fascynujący wzrok Adama pogłębia noc, czarny lęk, bicie serca. Nierealny wzrok, nierealny Adam. Nie jesteśmy

Wychodzimy przed kolebę. Pod nogami owalny grzbiet stanął i zakolysał się jak okręt. Niżej, pod nim, noc powiększona i pusta. Kadłub pod nami drży i pionem zerwy spotyka się z niziną nocą. To jest ostatni pokład samotności, daleko, rozlane pod nami, zamieszkałe noce słowackie i perlisy trójkąt miasta u amarantowej flagi świateł. Zerwał się, wychynął z mgły ponad czarną falę, sygnalizuje, tańczy, tonie, i pojawia się znowu, fruwa u jasnego żagla, obojętny i kapryśny, niemal poetycki. Szarpie nim wiatr, ten sam, co tu się położył na grzbiecie i mdleje. Gruby słowacki szczyt oparł swój cień papierowy w pustym księżycu o pokład kamiennego olbrzyma, na którym stojąc popłynęliśmy. Cisza zastygła w nocnym cieple, zwinęła się bez głosu, krew pod jej ciężarem opada. Księżyc, sproszkowany zielono, wysypał się z czarnego rozpylacza i powlókł srebrnie skrzydło wiatru.: Adam, czy to jest szczęście? Gorycz i gorączka i słońce na szczycie, i gdy rozdierasz mi krew — czy to już jest szczęście, czy dopiero potem w myślach? To życie, ale szczęście to może tylko idea?

Kształtne usta Adama nie rozjaśniają nocy, gdy przyrastają do moich ust. Niema w nim żadnych oporów, szczęście jest tuż, konkretne. Więc powiedzieliśmy wszystko. Schyleni wchodzimy pod niski okap koleby. Z ciemności fosforyzuje zielony mech i woła. A wściekły podmuch gorącego wiatru, gdy przesuwa się za nami, popędza nas, jakby zamykał za nami drzwi.

ŚWIĘTY JAN NEPOMUCEN

Męczennik

Tam, pod starym młynem, cóż to za światło mdlawe?
 — To ciało Jana upartego, strąconego do rzeki, w wodach się pławi. —
 Miesiąc zachwycający noc oświetla majową!
 Pięć gwiazd tuż u nurtu wstrzymało się ponad kołysaną głową.
 Kołysze się, przytrzymywany u pala, i tonie z prądem znoszony,
 Aby tyranowi nie wydać sekretu, który był mu zwierzony,
 Tajemnicy spowiedzi kobiecej u konfesjonau.
 Ramiona w krzyż, okutane w fałdy szat kapłańskich ciało,
 Chwieje się na plecach, lśniący w wartkiej toni,
 Chmury wielkie suną zwolna, niebo wspaniałe się kłoni.
 Wszystko ofiarowuje się nocy i za latem gwiazdy powtarza.
 To połowa maja! Tam w górze, w ogrodzie młynarza,
 Drzewko drobniotkie w bieli pęka w blasku pełni księżycowej i cień
 [miota długi,

Głosy w żydowskiej dzielnicy milkną, jeden po drugim.
 Kobieta zcicha nuci, poczem milknie. W sen śpiocha
 Zdaleka przenika głos psa zbłąkanego na moście, który za panem swym
 [szlocha.

Ach! jak daleko teraz jest świat! Wokół
 Na zawsze już oto wreszcie świat pokonany przez spokój!
 Potężniejsza od dzwonu zygmuntego, gdy dźwięk na powietrzu
 [rozwłóczy,

Dziwna gwiazda ponocona z wodą się miesza, która huczy.
 Jakich nurtów, niebios czy rzeki jeszcze, szczałkiem jest jego głowa?
 Rzekłbyś, do szmeru ich mieszają się słowiańskie słowa,
 Jak kobieta, która lka cichutko, i w wzdychaniach się nie nuży!
 Gród jego wokoło, dach nad dachem, mur przy murze,
 Aż po zamek królewski piętrzy się w lasurze.
 Ponad nim, jeszcze chwila, Materja, przez Formy pochłonięta, się ukaże,
 Widzi Niebios potrójnych olbrzymie kurytarze
 I u zenitu, jak się w punkt ośrodkowy, beziemierny i maleńki, wciela,
 Między ramionami Ojca wiekuistego, Jezu-Chrystusa, Zbawiciela.

PAUL CLAUDEL (ur. 1868)
 Przetłóżył Stefan Napierski

XV

(Elegics)

Pod figowcem w Awinjonie
 Mrok zielony cukrowany
 Łzami słodkimi owocu
 Pjanego z sytej błogości:

Fig żralych nie postrzegalem,
 Nie dosłyszałem os szmeru
 I Rodan próżno mi nucił
 Wzgardę nieśmiertelną o nas.

Oglądałem na niebiosach
 Jak srogim ulatał lotem
 Pokój, niby ptak olbrzymi,
 Wyrnany z gminy ojezystej.

Pod twemi płochemi liściami,
 O, figowcu z Awinjonu,
 Przyzywać starczyło niecoś
 Ostatecznych samotności.

W głębi wioski pohukiwał bęben,
 Milezenie strzępiło się jak płachta;
 Zgiełk nowy i barbarzyński lżył was,
 Granaty w kwiatach przechylone
 [w pył.

Nic z tego nie odczuwałem:
 Wystarczyło obejmować
 Wszystkie lata nadchodzące,
 Pojone trucizną hańby.

Starczyło oczy rozwierać,
 Żrenice zdesperowane,
 Na świat cały pogrzebiony
 W smutku bezdennym, jak studnia.

GEORGES DUHAMEL (ur. 1884)
 Przetłóżył Stefan Napierski

PRZESŁANIE

O, Pani! ja zwiodłem ciebie
nie powracamy z podróży.
Kłamaliśmy wirydarze
i flamingi barwy róży;
to nie ku nam poprzez plaże
wabiły szpony syreny.

Jeśli na brzegach nie sypiał,
nie gryzł owoców werweny;
ani nie całował nagich
dłoni wonnych, legendarnych;
jeśli w dniu przyszłe wierzyłem;
dzieje prawiem odwagi —

to były jeno miraż,
tumany oparów marnych.
Czekałem; oparłbym się pewno;
ale nie nadeszła pełnia.
Ellis! Wybacz! Ja kłamałem.
Ta podróż w sen jest zaklęta,
w te myśli nasze zawile,
w mury pokoju zbyt białe,
i tak przetrwaliśmy życie,
nie widząc go. Czytając.
Ty nadechodziłaś w zachwycie
modlitwy w bladawe rano..
Pani, wybacz, ja kłamałem:
tę całą książkę skłamałem.
Lecz przynajmniej nie krzychałem;
bowiem cichym jest się we śnie.
Przecie raz jeden o świecie
chciałem życie widzieć całe,
schyliliśmy się przedwcześnie
ku rzeczom; wtedy pojąłem,
iż tak są srogie, straszliwe,
że, aby je opowiedzieć,
nie wystarczą wargi żywe;
wzrok odwróciłem och, wybacz! Pani;
wolałem kłamstwo powiedzieć.
Bałem się, że krzyk cię zrani,
który poezję druzgoce,
gdybym Prawdę choć zdaleka
wyznał, Prawdę, która łamie;
wolałem kłamać, znów kłamię,
i czekać, czekać — i czekać!

Z książki „Le voyage d'Urien”

ANDRÉ GIDE (ur. 1869)

Przełożył Stefan Napierski

PŁOMIENI WIĄZKO...

Złomieni wiązko (które rozplata
Kradzież niewinna wczesnego rana),
Zanurzyć się pośrodku lata
Wraz z gołębiami św. Jana.

O wodzie, co w słońca pochodni,
Chwieje się, niespokojna fala,
I o przeskokach nużących ogni
Od miejsc, gdzie Venus zstąpiła, zdala,

Bałwany gruchają zdaleka,
Naśladując wspaniałym pomrukiem
Gniewną pierś, wzdętą od mleka,
Lub z żądzy? Raczej to drugie.

RAYMOND RADIGUET (1903—1923)

Przełożył Stefan Napierski

PIOSENKA W WIECZÓR BURZLIWY

Wino piłem duszkiem, woń wdychałem róży,
 Wargą się poilem jak trunkiem dostałym:
 Żadna już z tych rzeczy dziś mnie nie odurzy,
 Tak wytrzeźwiałem.

Dnie błyskały widne nad zwartemi usty,
 Wiedzy nie przybyło, zamarła nadzieja:
 Serce me się zdaje jak wplątana w chusty
 Święta orchideja.

Młodość, błysk! dnie zgasłe jak poblask łuczywa,
 Płomień martwy chwały, popiół strącon w głębie,
 Czas was tak zagrabił, jak orzeł porywa
 Krwawe gołębie.

Do stóp mych bałwany, mołochu potwarczy,
 Masko Losu trwożna, która się rozchyła!
 Cofnij się, przyszłości, już czeka u tarczy
 Serce me i Achilla!

Smutek, namiętności wypluj, duszo, z siebie,
 Jako z chmur rozdartych mętna woda ścieka
 Przez sto dziur wybitych gromami na niebie:
 Tu kres człowieka.

Nie, żyjmy, lecz jeśli wicher srogi mnie zmiecie,
 Falom mam ustąpić, co stopy mi liżą,
 U wargi mej zamrzyj milezieniem, o flecie,
 W ogłuchłym spiżu.

M. DU PLESSYS

Przełożył Stefan Napierski

* *

(Z tomu: „Les dessous d' une vie ou La pyramide humaine“)

Naprzód ogarnęło mnie wielkie pożądanie solenności i pompy.
 Dygotałem z zimna. Cała moja istota żyjąca i naprawiona dźwigała się
 ku srogości i majestatowi umarłych.

Kusiła mnie potem tajemniczość, w której kształty żadnej nie od-
 grywiają roli. Ciekaw niebios odbarwionych, z których wydano ptaki
 i chmury. Stałem się niewolnikiem czystej zdolności patrzenia, niewolni-
 kiem mych żrenie nierealnych i dziewiczych, niewiedzących o świecie ni
 o sobie. Spokojna potęga. Zniosłem widzialne i niewidzialne. Zagubiłem
 się w zwierciadle, wyzbytem cynfolji. Nie do zniszczenia, nie byłem ślepy.

* *

Jej dłonie, widzę, jak odnajdują światło i wznoszą się, niby kwiaty
 po deszczu. Płomienie palców jej odszukują ognie niebios i miłość, którą
 poczynają pod liśćmi, pod ziemią, w dziobie ptaków, przywracają mnie
 samemu sobie, tem, czem byłem ongi.

Cóż to za wizerunek, który składam? Życie, którem go nasycam,
 nie jestże to odzyskana pamięć moja, wszystkie dawne me pożądania,
 nieznanne mi sny, cała najprawdziwsza biała siła, o której nie wiedziałem
 nic, którą zapomniałem.

Napewno mniemałem, że już jej nie Kocham i zanurzałem się w
 noc. Była wolna i mogła się błąkać. Lecz oto odnajduję ją, oto, odnowa,
 odgarniam jej widnokrąg.

L E N I S T W O

Rzuciłem lampę moją w ogród, by widział jasno, i ułożyłem się,
 jak długi. Szelest poruszał wszystkiem zewnąrz. Uszy moje usnęły.
 Światło kołata do drzwi.

PAUL ELUARD

Autoryzowany przekład Stefana Napierskiego

WSPÓLCZESNA LIRYKA CZESKA

W szkicu tym pragnę dać przegląd kilkanastu ostatnich lat rozwoju liryki czeskiej. Sylwety autorów, o których będę mówił, nie mogą tu, niestety, wystąpić w całej pełni i wyrazistości. Na to trzeba by dokładniejszych i obszerniejszych omówień i rozbiorów, co znowu poszerzyłoby znacznie ramy syntetycznego szkicu.

Zacznijmy od lat powojennych. Wojna światowa odbiła się w liryce czeskiej raczej po stronie inwencji treściowej, aniżeli w szukaniu nowych form sztuki. Obok poetów dawniejszych Sovy, Tomana, Theera i Macha wystąpił przedewszystkiem Victor Dyk (ur. 1877) jako entuzjasta i niewyczerpany piewca świadomości narodowej oraz Rud. Medek (ur. 1890) jako poeta hymnów i epik, sławiąc bohaterską anabazis legji czeskiej na Rusi i Sybirze.

W dziełach powyższych dwu autorów wystąpiły najdobitniej motywy patriotyczne i echa walk o wyzwolenie narodu. Obok nich wymienić należy Oldricha Zemka, poetę mniej wybitnego; w utworze „Jan Brazda“, będącym próbą eposu, opisuje on perypetje Czecha, żołnierza austriackiego, który dostawszy się do niewoli rosyjskiej, doznaje szeregu przygód i powraca do ojczyzny jako legjonista. Zemek wydał ostatnio tom poezyj p. t. „Svatá chudoba“ („Święte ubóstwo“), poezje z lat 1933-34). Jest to zbiór legend o katolickich świętych. Świadomie wybrany prymitywizm formy tych legend dobrze odpowiada treści. Niewiadomo jednak, czy spowodu tej książki krąg milczenia, jaki otacza Zemka, jeszcze bardziej nie zacieśni się.

Do pokolenia poetów starszych należy Petr Krziczka (ur. 1884). Wyszedłszy z witalizmu w najlepszym swym zbiorze poezyj „Głogowy krzak“ - („Szipkovy kerz“—1916. Wyd. 7—1933) wypowiada z siłą i sugestywnością wstręt Czechów do wojny austriackiej, tęsknotę żołnierza za domem, oddaje się wspomnieniom rodzinnym oraz kreśli z melancholją uczucia miłosne. Wielką popularność zdobył poeta szczególnie jednym wierszem z tego zbioru: „Medynia Glogovska“. Nowy tom poezyj Krziczki wyszedł w r. 1933 p. t. „Chleb i sól“. Nie osiąga w nim poeta nowych zdobyczy, zachowując ten sam nieproblematiczny stosunek do rzeczywistości w oparciu o dar miłości oraz zmysł równowagi w radości i smutku. Krziczka jest doskonałym tłumaczem z rosyjskiego i francuskiego.

Chwałę ziemi, chłopca i jego pracy opiewa Jan Czarek (ur. 1898). Poezję J. Czarka, który wydał dotychczas cztery tomiki: „Wojna“—1920, „Biedna rodzina“—1924 „Ciemno w cha-

łupach"—1926 i „Smutny żywot“ — 1928, skrytykował ostro wybitny krytyk Bedřich Fuczik, zarzucając Czarkowi szablonowość, naśladownictwo, konwencjonalność i sztuczność. Niemniej jednak wydaje mi się, że niektóre wiersze Czarka posiadają dużo prostoty, rzewnej melancholji i przepojone są czystą miłością do ziemi rodzinnej.

Do kręgu poetów ruralistów zaliczyć należy i Jana V. Sedlaka, który ostatni tomik poezyj „Moje góry“ (Me hory—1931) poświęcił Tatrom. Sedlak wydał wybitne książki z zakresu poetyki: „O problemach poetyckiego rytmu“ i „O dziele poetyckim“ — 1935 r.

Ruralistą jest również Josef Koudelak, który, począwszy od r. 1927, wydał sześć tomików poezyj o motywach sielskich. Najlepszym z nich jest krótki poemat „Seniczka“. Koudelak pisze także prozą. Zdobywszy uznanie powieścią „Wrota mgły“, wydaje w r. 1932 drugą powieść o wsi „Na drzewie krzyża“, w roku zaś następnym trzecią „Hraniczarzy“ Koudelak zapowiada duże możliwości i rokuje wiele nadziei. (Ubocznie nadmieniam, iż o poetach sielskich ukazała się wspólna praca p. t. „Básníci selstvi“ pod redakcją Josefa Knapa — r. 1932).

Hasła rewolucji proletariackiej oraz wielki prąd problemów socjalnych ogarnęły i poetów czeskich. W rzędzie tych poetów socjalnych występują: Josef Hora, Jirzi Wolker, Jindřich Horzejszi.

Josef Hora (ur. 1891 r.), uważany za najwybitniejszego współczesnego poetę czeskiego, trzyma się w zakresie formy tradycji. W tomie „Tonące cienie“ („Tonouci stíny 1933, jedenasty tom zrzędu) z powodzeniem pokusił się o stworzenie nowej, współczesnej formy balladowej, nawiązując do wielkiej tradycji K. I. Erbena i Wolkera. W pierwszej fazie rozwoju swego talentu Hora oddawał się liryce społecznej, którą łączył ściśle z witalizmem, dokopując się do głębokich pokładów współczucia z nędzą i niedolą człowieka („Pracující den“ — „Pracující den“ — 1920, „Burzlivá wiosna“ — „Bourzlive jaro“ 1923 —)

Hora wyszedł z Brzeziny. Typem swej poezji racjonalistycznej, wyrozumowanej, refleksyjnej, o liryzmie wysublimowanym z bezpośredniej emocji i irracjonalności, melodią wiersza i obrazowaniem, formą chłodną i opanowaną przypomina naszego Staffa. Poezja jego, nie posiadając szerokiej rozpiętości ideowej, nie jest poezją problematyki i metafizycznego niepokoju, niemniej jednak uderza w tony głębokie, podaje trafne sformułowania poetyckiej wizji i ujmuje czystością sztuki.

Duchowym przewodcą młodego pokolenia poetów, który nakreślił socjalno-rewolucyjny program poezji proletariackiej, był

Jirzi Wolker (1900—1924). Wolker próbował swych sił i w dramacie, lecz dwa tomy poezyj, które pozostawił po swem nadzbyt krótkiem życiu („Gość w dom“—„Host do domu“ 1921 r., i „Ciężka godzina“ — „Tiežka hodzina“ 1922) decydują nieodwołalnie o pozycji jego w literaturze czeskiej. Śledzimy w tych tomach wielki talent poetycki, bogatą obrazowość, silne odczucie niedoli ludzkiej, szlachetność serca i prostotę wyrazu. Podstawą poezji Wolkera jest etyzm, oparty o marksistowski pogląd na świat. W zakresie zaś poetyckiej wizji — realizm. Poezje Wolkera znane są u nas z przekładów Adolfa Fierli. Najbardziej wybitne z jego wierszy—to: „Ballada o marynarzu“, „Żebracy“, „Ballada o śnie“, „Ballada o oczach palacza“ Obszerną biografję Wolkera napisał w r 1933 Zdeniek Kalista p. t. „Kamara'd Wolker—vzpominky“ — Poeta zmarł wcześniej, niż mógł swe myśli w życie wprowadzić, niż mógł ramiona do czynu przygotować.

Jindržich Horzejszi (ur. 1889) wydał dotychczas: „Muzyka na rynku“ („Hudba na namiesti“ 1921), „Koralowy naszyjnik“ („Koralovy nahrdelnik — 1923), „Dzień i noc“ („Den a noc“ — 1931). W roku 1932 w drugim wydaniu ukazały się jego „Poezje wybrane“. Horzejszi to liryk, mający do dyspozycji silny talent męski. Poezja jego ma ton jędrny, niekiedy twardy, wyklucza płytki sentymentalizm i kawiarnianą atmosferę rewolucyjną. Wykształcony na wielkich poetach francuskich Verhaerencie i Apollinairze, przeszedł drogę ewolucji od anarchistycznych, nihilistycznych poglądów przedwojennej, paryskiej, literackiej bohemy do powojennego widzenia świata, w którym ukazuje się człowiek, jako istota społeczna, podejmująca twarde trud życia codziennego w oparciu o bohaterskie ramię i serce kobiety

Horzejszi jest doskonałym tłumaczem poetów francuskich.

W kręgu poetyzmu, który starał się przywrócić powojennej czeskiej poezji swobodę tworzenia stoją liczni poeci: Nezval, Biebl, Pizsa, Seifert, Halas, Zavada i z młodszych Zahradniczek.

Vitezslav Nezval (ur. 1900) odznacza się niesłychaną płodnością i bujnością talentu. Ma on za sobą liczne tomy poezyj. Po pierwszym zbiorku „Most“ — 1922 wydaje wkrótce „Pantomimę“, „W mniejszym różowym ogrodzie“ (1924) „Śniadanie w trawie“, poemat „Edison“, który jest hymnem na cześć cywilizacji i geniuszu człowieka. Potem — „Poezje nocy“ — 1930, wiersze o wysokim poziomie artystycznym. Tomy Nezvala: „Bližnięta“ („Bližence“) „Gra w kostki“ (Hra v kostky“), „Pięć palców“ („Piet prstu“ — 1933) mają poziom niższy

Nezval jest poetą niezwykle żywym, ciekawym i czujnym.

Większość jednak jego poezyj nie przekracza ciasnego zasięgu inspiracji, wypływa z nieokiełznanego talentu artysty, cierpi na literackość, nie jest przefiltrowana przez krytyczny umysł. W poezjach Nezvala śledzić możemy typowy fizjologizm liryczny, który rozszczepia, rozkłada, rozświetla doznawaną rzeczywistość na tysiące sposobów. Poezji Nezvala brak kondensacji i prawdziwej, wewnętrznej dynamiki ducha, któraby wskazywała na to, iż los człowieka nie jest tylko mało znaczną grą życia, ale niezwykłym problemem istnienia w obliczu wieczności.

Poeta mówi, identyfikując się z księżycem:

„Z głębin ku niebu,
z nieba ku głębinom,
od końca do początku
się przelewam.
A między wiecznym ruchem
nagrobkiem kolebki mej jest ziemia”

Jaroslav Seifert (ur. 1901) przeszedł przez krąg poezji społecznej w tomie „Miasto w łzach“ („Miesto v slzach“), w którym tonem dominującym są raczej negatywne strony rewolucji. Potem przeszedł przez romantyzm i egzotykę w tomie „Na falach telegrafu bez drutu“ i doszedł do poezji prostej, bezpośredniej („Jablko z łona“ — „Jablko s klina“ — 1933), w której wyczuwamy głęboką prawdę duszy poety. W „Jablku z łona“ podchwytyjemy obok prostoty słowa, poetyckiej dojrzałości także pewną nutę rezygnacji i zmęczenia. Poezja Seiferta ma swój czysty, sobie właściwy wyraz. Oscyluje ku surrealizmowi.

Do Nezvala i Seiferta zbliża się rodzajem formy poetyckiej Konstantin Biebl (ur. 1898). Wydał tomy: „Złom“ („Zlom“ — 1925 r.), „Złotemi łańcuchami“, „Z okrętu, który dowozi herbatę i kawę“ (S lodi, jež dovaži czaj a kavu“), „Droga do ludzi“ (Cesta k'lidem“), „Wierny głos“ (Vierny hlas“), „Złodziej z Bagdadu“ (Złodiej z Bagdadu“) i ostatnio w r. 1929 „Nowy Ikar“ („Novy Ikaros“).

Biebl rokował wielkie nadzieje. Lirykę jego cechuje dekoratywność, bogactwo słowa, egzotyzm tematów, nuta verlainowska, irrealizm i nadrealizm. W ostatnich latach poeta zamilkł i niewiadomo, czy spełni nadzieje w nim pokładane.

Ant. M. Píša (ur. 1902), który przeszedł obecnie wyłącznie do krytyki, swój udział w życiu poetyckim Czech zaznaczył kilkoma tomikami. Zaczął jako poeta rewolucjonista „Niezrozumiałym świętym“ (Niezrozumitelny svaty“) Pluralistyczna wizja świata znalazła w tym tomiku żywy wyraz. Symbolika i fantazja cechowały te pierwsze wiersze. Potem przyszły

„Gwiazdy we falach“ (Hviezdy ve vlnách“). Od „Pozdrowienia“ („Pozdrav“) zaczyna się sublimacja wypowiedzi poety, co prowadzi go aż do jednolitej, prostoliniowej drogi lirycznej „Płonącego domu“ (Horzici dom“), w którym przeważają cienie, a świat jawi się jako stracony raj, gdzie cierpi i męczy się człowiek. Wiersze tego tomu są jakgdyby ciężkie i smutne medytacje na temat wieczystych przeznaczeń i losu, wiecznej klęski i rozterki duszy ludzkiej.

Intensywność przeżyć, wewnętrzną rozjątrzenie, głęboka melancholja a niekiedy pesymizm, apokaliptyczna wizualność i namiętność wypowiedzi cechują poezję Vilema Zavydy który wydał dotychczas dwa tomiki: „Panichida“—wyd. II 1928 r., „Sirena“ — 1933 r.

W „Panichidzie“ znajdujemy wszystkie elementy rozpalonej wyobraźni poety, napotykamy również głębokie tony tkliwości o subtelnych odcieniach natężenia lirycznego. „Panichida“ jest książką nierówną, jednak potężny oddech liryzmu, jaki bije z tych kart, oraz gwałtowna ekspresja słowa nadały jej jednolitość tonu i melodji.

„Sirena“ jest książką odmienną. Bardziej wychłódlą. Dominuje w niej intelekt. Tam w „Panichidzie“ sensualność i nieustanny ruch, wibracja, tu logizm i statyka, tam — nieuporządkowana sfera doznań i wypowiedzi, tu — zdyscyplinowany rygor uczuć i słowa. „Sirena“ według krytyki czeskiej jest książką słabszą.

Atmosfera wewnętrznego zapatrzenia, melodia delikatnej refleksji i zadumy, zwiewność notowanych wzruszeń, subtelność formy, ograniczonej do słów koniecznych, pozbawionej dekoratywności, wreszcie estetyzm i harmonja cechują twórczość Frantiszka Halasa, który rozpoczął swą drogę poetycką tomikiem „Sepie“, wydając potem tom „Kogut ploszący śmierć“. Później „Twarz“ — 1932, i „Horzec“ — 1933 r.

Dwie ostatnie książki Halasa są w całości poetycko wytrzymane, o formie dokładnie obrobionej. Małe rozmiarami wierszyki o tonacji idyllicznej rozniecają atmosferę spokoju. Ściszony liryzm i ukryty dynamizm działają tu jak spokojne fale morza. Zbytnią dbałość o formę, zbytnią korekta wrażeń i refleksji grozić mogą poecie za dalekiem odejściem od prawdy wewnętrznej, ale dewiza poety: „szukajcie wyswobadzających zdań“ oraz czujna jego postawa twórcza skutecznie temu przeciwdziałają.

Jan Zahradniczek (ur. 1905) należy już do młodszego pokolenia poetów. Wydał „Pokusę śmierci“ (Pokuszeni smrti“—1930 r.) „Powrót“ („Navrat“—1931 r.) i „Žórawie“ („Jerzaby“—

1933 r.) Forma tradycyjna. Krag zainteresowań w pierwszych tomikach — boleść człowieka i zagadnienie śmierci. Poezja to sensorywna, w zetknięciu z przyrodą nabiera barw i soków oraz znamion dojrzałości.

Zbliżony nieco do Zahradniczka jest Frantiszek Hrubin (ur. 1910). Wydał „Śpiewano z dali“ i „Piękna po ubóstwie“ („Krasna po chudobie“ — 1935) Liryka jego ma tonację przytłumioną. Cechuje ją umiar i rzetelność wypowiedzi. Hrubin zakłada sobie cele bliskie. Stojąc na wąskim skrawku ziemi, nie rozwija szerzej swych skrzydeł poetyckich.

Nieco na uboczu od prądów i kierunków poetyckich postawić należy twórczość Vladimira Holana. Cztery jego tomiki: „Triumf śmierci“, „Kolury“, „Wiew“ („Vanuti“) i „Obłok“ („Oblouk“ — 1934) — z których dwa pierwsze przynoszą poezję, pozostające jeszcze trochę pod wpływem obcym, a dwa następne zawierają wiersze zupełnie samoistne, — wprowadzają czytelnika w świat bardzo subtelnych nastrojów i kunsztownie ukladanych liryk, przetykanych bogatą metaforą. Kunszt formy miesza się tu z rafinadą wizji i przeżyć. Holanowi udało się, jak mniemają niektórzy krytycy, stworzyć „un nouveau frisson“, który poezję czeską pchnie o krok naprzód.

Oryginalną o dużym potencjale uczucia jest liryka Jaroslava Bednarza (ur. 1889) Tom prozy „Czerwona ziemia“ (Czervena zemie) nagrodzono w r. 1919 nagrodą Czeskiej Akademji. Wydał tomiki poezji: „Ludzka twarz“ („Lidska tvarz — 1923). Jest to tom poezji, pisanych podczas walk w Polsce i we Włoszech. Druga książka poetycka „Prąd światła“ („Proud svietla“ — 1927) poetycko znacznie pogłębiona. Trzecia „Gwiezdana wędrówka“ („Hviezdna tulactvi“ — 1930), nadzwyczaj przychylnie przyjęta przez całą czeską krytykę, zawiera szereg wierszy, uderzających tematem i sposobem ujęcia oraz bogactwem metafory śmiałej i rozległej. Wiersze zahaczają o nadrealizm i kipią od wewnętrznego żaru uczucia.

Oprócz poetów wyżej wymienionych, którzy są już znacznie zaawansowani w dziedzinie poetyckiej twórczości, wymienić tu jeszcze należy młodą grupę poetów o ideologii katolickiej, którzy wbrew wszelkim prądom i kierunkom poetyckim, wbrew proletaryzmowi i poetyzmowi szukają oparcia dla swych talentów w określonym ideowo światopoglądzie, spodziewając się znaleźć w nim mocną dźwignię swego ducha. Poeci ci skupiają się wokół miesięcznika „Rzad“. Są nimi Lazecky, Rencz i Kostohryz.

Frantiszek Lazecky (wydał dwa tomiki: „Surowa chemja“ i „Krzyż“) — najrzetelniejszy i najwyraźniejszy przed-

stawiciel tej grupy. Wiersze jego obszerne rozmiarami (szczególniej z tomu drugiego) odznaczają się architektoniką wiązania i podstawowym tonem, którym jest Sprawa Boża.

Rencz, bardziej melodyjny i zwiewniejszy, wydał „Świtanie“ i „Studzienki“ („Studanky“ — 1935). Renczowi zarzucają jeszcze niedojrzałość, naśladownictwo, brak należytego opanowania tematu, pośredniość. Nie mniej jednak Rencz — to dobry talent, przez Szaldę, najwybitniejszego krytyka czeskiego, stawiany wśród młodych wysoko.

Ideowość, spirytualizm i problematyzm, oparty o wieczyste zagadnienia bytu, wyróżniają grupę „Rzadu“ z pośród licznych młodych poetów czeskich.

Kończąc ten nieco przydługi artykuł o współczesnej liryce czeskiej, nadmieniam, że nie mówiłem w nim o poetach starszego pokolenia. Pomiąłem również wielu poetów morawskich takich j. np. Chaloupka (1898—1930), Rajmund Habrzina, Kriebel i innych. Pomiąłem i tych poetów, o których jako cudzoziemiec mniej mogłem zebrać wiadomości.

Muszę jednak na zakończenie podać tych poetów-tłumaczy, którzy zajmują się szczerze poezją polską, tłumaczą wiele z polskiego i niejednokrotnie w czasopismach czeskich dają wyraz żywej przyjaźni i głębokiego swego stosunku do literatury polskiej. W pierwszym rzędzie wskażę na dr. Josefa Svitil-Karnika w Nowem Mieście na Morawie, doskonałego tłumacza ze starszej generacji. Obok niego tłumaczy wiele morawianin, młody poeta Adolf Gajdosz z Brna oraz Jaroslav Janouch z Pragi, który w roku ubiegłym, zajmując się bliżej Norwidem, przełożył pięknie jego „Litanję do N. Marji Panny“.

ANTONI MADEJ

W O J N A

Na górze biało, na dole biało.
 W bieli się zboże rozfalowało.
 Dawno już milezy dzwon na cmentarzu,
 ustała walka i chrzest żelaza.
 Już nawet nie wiesz, czy kiedy była,
 kogo miłego ci zagubiła.
 Lecz wszakże może i teraz prawie
 cieknie krwi struga w zielonej trawie,
 niedostrzegalnie gdzieś nad krainą
 wojna, pożoga i zbrodnie płyną?
 O żytni kłosie, krzaku głogowy,
 przed ich widokiem wzrok nasz zachowaj!
 Swą płodną ciszą, ziemio, nas osłoń,
 w szczyście nas otul, w światłość radosną!

(Z tomu „Tonouci stíny“)

JOSEF HORA

Z czeskiego spolszczył Antoni Madej

LIRYKA CZESKA W SPOLSZCZENIU

W S P O M N I E N I E

Dym przyprószył kwiaty,
grzmot przewalał się niebem.
Zgarbieni z węzełkami,
ze skamieniałym chlebem
pełzli robotnicy do pracy.

Nie było ptaków i gasł wiew gwiazd
nad suchym lasem i nad prochem miast,
gdy z wrzących pieców żelazo wyciekło,
zalało ziemię i dusiło noc.
Mówiłem:
Piekło.

Rozwiał się dym, błękitne niebo wokóło,
skowronek wrócił i śpiewa.
Cisza jak balsam
na zielone pola się rozlewa.
Jak spętane straszdyło
fabryka mileży.

Nad zardzewiałym piecem,
nad ramionami kominów
sławią swój wjazd,
gdy przyjdzie wieczór,
chóry świerszczy i plejady gwiazd.
I maj, słodki maj.

Mówię pociechu:
maj?

(Z tomu „Tonouci stlny“)

JOSEF HORA

WOSKOWA ŚWIECA

H. M. Piszovi

Z szumiących ulów przyszła,
z woni stokrotnych kwiatów
siostrzyzka miodu,
w którym kąpała się latem,

nim z wonnej tej kąpieli
anielskie ręce ją wyrwały.
W miesiącu miłości
jej szatę pszczoły tkwały.

Gdy martwy człowiek do nóg
jej padnie jakby śpiący,
na smugę czarnych cieni
rozpuści włosy lśniące,

a po woskowym cieple
płomienna łza jej spływa:
pójdź ze mną, mój umarły,
śmiertelne łoże wzywa.

(Z tomu „Jabiko s klna“)

JAROSLAV SEIFERT

R O Z M O W A

Całowałaś me czoło czy usta,
nie wiem,
tylko twój słodki głos usłyszałam
i zmrocz gęsta
zdumienie złąknionych rzęs zasypała.

Całowałem twe czoło w pośpiechu,
bowiem oszołomiła mnie
woń twego wionącego oddechu,
ale nie wiem,

— tylko słodki głos usłyszałem
i zmrocz gęsta
zdumienie złąknionych rzęs zasypała,
me czoło czy usta całowałaś?

JAROSLAV SEIFERT

(Z tomu „Jablko s kltina“)

W I O S N A

Zabrzmiście, srebrne strużki,
spuście muzykę dzwonkową,
gołębie, uderzcie w skrzydła,
gdy cicho płaczą nad chatą swą ubogą

i pożądliwie czekam, by już wnet
w drzewach, roślinach słodko
zachlupotała miazga,
jakoby dziecko zakwiliło w pieluszkach.

Niech za przyczyną błękitnych harf deszczu
na niebie stają ostatnie śniegi
i spod prześwitających zasp ukazą się pierwioski gwiazd
wśród wspaniałego ładu bławatów.

VILEM ZAVADA

(Z tomku: „Panichida“)

P A S T E L

Jesień
strąca liście
na ofiarę grobu.

Błękit rozpięty jak parosol.
Schyliłem się pod nim i czuję:
wielka miłość płynie
z bulwarów,
z plaży, jak z ogorzonych lic,
ku płonącemu ogniskowi domowemu,
do serca.

Tylko cichutko brzęczą jeszcze komary,
jakby gdzieś wdali
w chłodzie mgły dzieci płakały.

VILEM ZAVADA

(Z tomu: „Panichida“)

LIRYKA CZESKA W SPOLSZCZENIU

RODZINNA ZIEMIA

Płowowłosa ziemia
wzdyma się, pęcznieje.

Na słonecznych łańcuchach zawieszona
huśta się, szamoce.

W błękitnej zagrodzie gór
tylko wzgórza pasą się spokojnie.

Nie mogę iść.
Od duszącej łaski chwieję się, chwieję.

Przedemną, za mną
ścieżki pogubiły się w trawie.

Oczy me spod czoła
popłynę tam do drzew

Plemię pni wyniosłych w niezliczonych
zastępach tam rośnie.

W magicznych koronach szeleści śmiech, o rzesach
[powłóczystych twarzy].
Rajskie to liście chwieją się, wieją.

Oczy me spod czoła w tej wspaniałości
toną, zatoną.

VILEM ZAVADA

(Z tomu: „Panichlda“)

P I E Ś Ń

Idę ku tobie rad i z pieśnią własną
z niej słowa żal już zwiął
zostawił tylko melodję jasną
tę nutę słyszysz śpiewającą
na gałązeczce ciszy
ku tobie się chwiejącej
nie spłosz czujności jej cicho cichutko siedź
tylko skryj dłońią swą małą pieśń
i w sen wieczysty wejdz

FRANTISZEK HALAS

(Z tomu: „Horzec“)

W M R O K U

W mrok zapatrzony
świata nie pojmuje,
duch mój oszołomiony
ciemność podchwytuje
za każdym drzę trzepotem
gdy trawka trawce odpowiada
ktoś widząc swą ślepotę
złe słowa do mnie gada
rozumiem je krew powtarza je
zmysły jak w febrze drżą
w palenisko ciała wieczność dmie
sam z sobą idę za trumną swą

FRANTISZEK HALAS

(Z tomu „Tvaz“)

A N T O N I E G O M A D E J A

L O S

Gdyś nie wyciągnął dłoni twych
na me ostatnie uściśnienie
jak po umarłym dziś je złóż
byliśmy sobie wszak sądzeni

I tylko inny wyrok gwiazd
w głębinach mrocznej wysokości
inaczej kwitnąć kazał nam
na mrozie konieczności

Złóż swoje ręce i proś za nas
oto noc dzieci jest nam dana
osobno cierpi każde z nas
i miłość płacze nierozdana

FRANTISZEK HALAS

(Z tomu „Horzec“)

P I E Ś Ń

Tak jako ziębną ręce twoje
chłodnie gwiazda o świtanu
tak jak przymykasz oczy swoje
ptak głowę skłania

Tak jako dziecię wcześniej odłączone
usycha zwolna w smutku bezwiednym
tak twoje czoło bolem udreżone
na skroniach wędnie cieniem błędnym

Tak jako błękit bezboleśnie
burzy się pierwszej gwiazdy Iśnieniem
tak twoje tkliwe czułe szczęście
krew traci w mem milczeniu

FRANTISZEK HALAS

(Z tomu: „Tvarz“)

S Z E P T E M

Kłoseczkiem wątłym jest ciało twe
gubiącym ziarno co nie wszędzie
jak kłosek wątły jest ciało twe

Przędzą z jedwabiu jest ciało twe
zwiądłe poryte zmarszczkami tęsknoty
jak przędza z jedwabiu jest ciało twe

Zgorzałem niebem jest ciało twe
śniąc czyha w siatce śmierci
jak zgorzałe niebo jest ciało twe

Cichutkie jest ciało twe
jego płacz porusza ma powieki
jak ciche jest ciało twe

FRANTISZEK HALAS

(Z tomu: „Tvarz“)

ŚMIECH SZATANA

We śnie szatan mi się zjawił,
pochylony śmiać się począł krwawoczerwonemi usty
i tak rzekł:

Czemu patrzysz wciąż ku gwiazdom,
gdyś nie widział jeszcze życia?
Biedny, biedny nieszczęśliku!

No, chodź ze mną, chodź!
Życia ci pokażę oteblań,
z czarnych cieni głębokości będziesz patrzył w nią ze zgrozą.
Wszystko poznasz doskonale!

A jam milczał, dusza ma cierpiała.
Szatan śmiał się, blask zielony z ocz się jego lał złowrogo.
Potem w twarz mi pluwał nagle,
zginął w mgle.

Umoczyłem wtedy pióro w jadowitej jego ślinie.
Zamiast krwi w tętnicach moich popłynęła wściekła żółć —
i w pomroce nocnej śledząc smutne widma, rozpocząłem
pisać wiersz...

JIRZY WOLKER

„MEDYNIA GLOGOVSKA“

Jedna i druga... Gwizdzą głużej, głużej..
Lecą i rażą..
Młodzieńcy już je spotykają suszej
z powagą w twarzy.

Armaty pędzą.. Paszcze śmierci.. Bitwa..
Bądź wola Twoja!
O, Boże, daj jej, daj jej siły wytrwać..
Matusiu moja!..

Gwiazdeczką będą nad polami wschodził
cichutko lśniącą.
Z biegiem lat, mknących jak fale powodzi,
blado gasnącą.

Mamo, twój pukiel siwy z ojca listem
do ust mych tulę.
Wszystkich, co cierpią w mym kraju ojczystym,
kocham najczulej.

I taję w sercu, dręczonem trucizną,
ból jego cichy.
I lęk i głuchy lęk przed mej ojezyny
krwawym kielichem.

Łukaszku, Basiu! Wsi morawskich dzieci,
pełne ziół woni.
Rozsądzi Bóg — nie czyniąc zła na ziemi,
czemu śmierć gonim.

„Naprzód!” Komenda ma szeregi wichry,
idą czwórkami..
O, Jezu słodki! O, Jezu najcichszy!
Zmiłuj się nad nami!..

PIOTR KRZICZKA

KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO

P S Z C Z O Ł A

Rzekłem do pszczołki leć, głupiutka, dalej,
wziąłem ją w ręce, puszczając przez okno.
Kłaniaj się lipom kwitnącym ode mnie
i głębiom dolin i obłokom.

Tęskniąc w ciemnicy za kratami,
ślę ciębie mój calunek złoty i brzęczący —
do wszystkich bez różnicy: do słońca, do rzeki,
do ptaków i do kobiet, do całego świata.

JAN CZAREK

G Ł O S

Szyn wyciągnięte ręce dłużą się po ziemi
i giną w mglistej nieskończonej dali.
Z twarzami pod żelazne kaski zapadłmi
żołnierze na wojnę odjeżdżali.

Łzy, ciche westchnienia i słów potok bystry
na szklanej dworca hali.

Na wojnę pojechały strzelby i tornistry,
żołnierze na stacji zostali.

KONSTANTIN BIEBL

(Z książki „Wierny głos”)

NA BIAŁEJ PODUSZCZE

Wydajesz się mulatką na białej poduszce
i zdrowiu twemu służy ciepły klimat.
Przytuliwszy się do mnie, z słuchawkami na uszach
słuchasz koncertu z Rzymu.

Kto choć raz nozdrza w włosów twych aromat wtopi,
zostanie palaczem opium.

KONSTANTIN BIEBL

(Z książki „Z okrętu, który dowozi herbatę i kawę”)

OKRĘTEM, PRZYWOŻĄCYM HERBATĘ i KAWĘ

Okrętem, przywożącym herbatę i kawę,
pojadę w kraj zamorski na daleką Jawę.
Po miesiącu mój okręt, porzuciwszy przystań,
zapłynie na zieloną, na rozkoszną wyspę.

I ty pojedziesz ze mną poprzez morza puste,
Weźmiesz z sobą walizkę tylko i swe usta.
Przed piramidą poczeka nasz okręt,
aż Mojżesz z ludem przez dno przejdą mokre.

W zakurzonych postołach i z wysoką laską
on prowadzi, natechniony przez niebiosą laską.
I jak czółna powietrzne wylatują ryby,
mkną za wodą, nurkują i prują fał skiby.

KONSTANTIN BIEBL

(Z książki „Z okrętu, który dowozi herbatę i kawę”)

WYROBNIK FORMY

Nazwisko Majakowskiego na długi czas — zwłaszcza poza granicami Związku Radzieckiego — przesłoniło wielkością swoją innych, mniej lub bardziej utalentowanych poetów, członków pogrzebanego i niezbyt dobrą pamięcią, wobec zmiany prądów i nastawień, cieszącego się dziś w poezji sowieckiej Lefu. Jednym z wybitnych towarzyszy pracy poetyckiej Majakowskiego, założycielem i teoretykiem Lefu, poetą, który podziśdzień nie wyrzekł się swojej dawnej linii ideologicznej, jest Nikołaj Asiejew, poeta zewszechmiar godny uwagi, u nas, w Polsce, znany jedynie przez nielicznych, a tłumaczony, i to zresztą trzeba przyznać przygodnie, chyba tylko przez niżej podpisanego. Tę nieznaną jomość nawet nazwiska Asiejewa poza granicami Sowietów trudno czemkolwiek wytłumaczyć, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że młodsi od niego, a dzielający niewiele więcej ten sam kierunek poetycki, Biezymienskij i Kirsanow, cieszą się na Zachodzie dość dużą popularnością, — Vladimir Pozner w „Panorama de la littérature russe contemporaine“, wydanej — warto zaznaczyć — w 1929 roku, wymieniając cały szereg nazwisk nawet szeregowych lefowców, pokrywa całkowitem milczeniem bogatą i wszechstronną twórczość Asiejewa. Toteż i piszący te kilka słów krótkiego informacyjnego szkicu zmuszony był opierać się w głównej mierze na informacjach, zaczerpniętych z... „Litieraturnoj Encikłopediji“.

Poezja Asiejewa, wywodząc się wedle jego własnego twierdzenia z symbolizmu, odznacza się spoczątku „inteligencją rafinadą“, całym spadkiem duchowym Mallarmé'go, Verlaine'a E. T. A. Hoffmanna, Oscara Wilde'a z jednej strony, a rosyjskich symbolistów z drugiej. Młody Asiejew, dekadent-romantyk, przystępuje najpierw do grupy S. Bobrowa, „Centryfuga“, która usiłowała połączyć klasyczną „czystą“ lirykę z technicznymi zdobyczami kiełkującego dopiero wówczas kubo-futuryzmu. Z tych to czasów wywodzi się uprawiany przez Asiejewa z zamiłowaniem ów „zaumnyj jazyk“, „język pozarozumowy“, na wzór słynnych „dyr buł szyl“ Kruczienycha. Prowadzi to w konsekwencji do nadużywania asocjacji dźwiękowych, aliteracji i t. d., o czym jeszcze będzie mowa poniżej.

Wczesne wiersze Asiejewa, — to wiersze człowieka, dławiącego się szarą, plugawą, mieszczańską codziennością, wiersze dekadenta, który ucieka od tej codzienności do azylu-kawiarni, aby w środowisku podobnych do siebie inteligentów marzyć o wyrwaniu się z zatęchłej atmosfery, o wybiciu okna na świeże powietrze, aby zaczerpnąć tchu. Stąd pierwotny antimerkan-

tylizm, izolowanie się i zaznaczanie swej odrębności od świata mieszcuchów, a jednocześnie obrazowanie na modłę „cygańsko-kawiarnianą, owe „półnogie luny, spoczywające na oparciu pochyłej sofki“, owe „dyżurne gwiazdy, podające ostrzygi“, „anioły, które palą cygara“ i t. p. Świat — „to tylko straszna mordą“, to też nic dziwnego, że wybuch wojny europejskiej wita Asiejew z radością. „Czas już rozwalić Europę...“ — woła w przypływie inteligencko-anarchistycznego buntu.

Porywa go romantyka pieśni zaporoskich, rozbójnicze życie Pugaczowa, mitologia słowiańska. Pod wpływem Wieliemira Chliebnikowa, o którym notabene jeszcze mniej wiedzą u nas, niż o Asiejewie, a którego twórczość zapłodniła całą prawie współczesną poezję rosyjską z Pastiernikiem włącznie, elementy te dominują w ówczesnych utworach Asiejewa i pod ich aspektem widzi on rewolucję 18-go roku.

Z biegiem czasu przestaje jednak Asiejew stylizować rewolucję na modłę rozbójniczą, przestaje widzieć w niej tylko burzyciela mieszczańskiego, tak nienawistnego mu, trybu życia, i zbliża się do ideologii proletarjackiej. W wierszu „Gastiew“ Asiejew wita Gastiewa jako „Owidjusza górników, hutników i ślusarzy“, a gdzieindziej zapewnia, że „niktby nie potrafił pokłócić go z przyszłością, która woła za sobą“. Jest to okres lefowski w twórczości Asiejewa, pomimo błędnego rozumienia celów i zadań pracy poety w ustroju socjalistycznym — płodny i piękny.

„Estetyka zaczyna się tam, gdzie kończy się działanie“ — głosi Asiejew swą podstawową tezę w pracy p. t. „Rabota nad stichom“, „Estetyka zabija działanie“ — powtarza nieco dalej. Należy — twierdzi — ześrodkować temat, treść, a więc i słownik, i terminologję, i składnię, i inne środki formalne poezji — na współczesności.

Twierdzenie to jest odzwierciedleniem negatywnego stosunku Lefu do tak zw. dziedzictwa kulturalnego. Nastawienie na współczesność, na nagi fakt (gdzie zresztą „faktografja“ stykała się z idealistyczną teorią „bezpośrednich wrażeń“, a przez eliminację czynnika subiektywnego prowadziła do zignorowania podejścia dialektycznego, a więc w konsekwencji i procesu walki klasowej), nastawienia to prowadziło na szczęście tylko w teorii do zaniechania t. zw. „wielkich form“ i skierowania twórczości poetyckiej w łożysko gazetowej „agitki“. To też nie dziwny się, gdy Asiejew zapewnia, że „gazeta niesie na sobie tematy, jak szkuner żagle“. I nic dziwnego, że jedyną troską Asiejewa (a nie zapominajmy, że jest on jeśli nie wynalazcą,

to w każdym razie twórcą kanonu „feljetonu lirycznego“) jest wybór właściwego dla każdego poety genre'u, w tym wypadku genre'u dziennikarskiego.

Nie oznacza to jednak, że Asiejew wyrzeka się wszelkich nowych zdobyczy w dziedzinie rytmu i wersyfikacji, przeciwnie, pragnie on aktualną i żywą treść zespolić z walorami t. zw. „wielkiej poezji“. I to, o co rozbiły się usiłowania mniej utalentowanych zwolenników „agitki“, udaje się Asiejewowi w zupełności. Błędne podejście teoretyczne, które podzielał i podziela dotąd, jako jeden z pogrobowców, z innymi niedobitkami Lefu, w praktyce nie wpłynęło na obniżenie wartości poetyckiej jego wierszy.

N. Tichonow w referacie o sowieckiej poezji na zjeździe pisarzy sowieckich w 1934 r. wyraził się, że własne jego wiersze rzekły się obrony pozycji Lefu, że poeta nie ogląda się w nim na teoretyka.

Cóż więc reprezentuje Asiejew jako poeta?

„Jam w duszy lirykiem najszczerzym,
z istoty samej mego wiersza“

— pisze o sobie w utworze p. t. „Swierdłowska buria“. A w „Poliarnom putieszestwii“ mówi o wierszach swych jako o „przyśpiewie“, czy „inkantacji“, jeśli tak można oddać po polsku trudny do dosłownego przetłumaczenia wyraz „napiew“.

Korzystając obficie z całego arsenału środków poetyckich Majakowskiego, a więc z jego stylu deklamacyjno-oratorskiego, związanego z tem specyficznego słownictwa i składni, kładzie Asiejew silny nacisk w wierszu na dźwięk i rytm. Lubuje się w powtarzaniu podobnych dźwięków w obrębie danej frazy poetyckiej, a nawet, podobnie jak Boris Pasternak, często grupuje odległe znaczeniowo słowa wedle ich dźwiękowych asocjacji, co niejednokrotnie prowadziło we wcześniejszym okresie twórczości Asiejewa do zatarcia linii ideologicznej utworu, a nawet do zaciemnienia sensu.

Jednakże, jak słusznie dowodzi znakomity krytyk rosyjski, Kornielij Zielinskij, — „wzmożenie zawartości ideowej, ideowe wzrastanie poety, wielkie poczucie odpowiedzialności za treść wiersza zmuszają go — z biegiem czasu (dopis. mój) — do nadawania większego znaczenia próżnej dźwięczności, do większego podporządkowania jej tematowi“ Podany poniżej przykład (z poematu „Siemion Proskakow“) najlepiej zilustruje metodę pracy twórczej Asiejewa:

Ci-	Nie
szej,	ma
ci-	mi-
szej,	ły
ci-	mój
sza —	czarnych,
— sza.	szarych,
Śpijże,	sinych!
śpijże,	Migoczcicie,
żona ma!	sto
Nie szeleśście,	sztuk,
łąki,	ciemności
nie drżycie	rozoraj.
osi-	Serce
ny!	stuk,
	stuk:
	odpocząć
	już pora!

„Tutaj—powtarzam dalej za Zielińskim -- nietylko dźwięk, ale i rytmika tak wdzierają się w treść, że głosy ich słyhać wyraźniej, niż bezpośredni logiczny sens słów, które mają wyobrażać scenę nocnego marszu partyzantów. Człony „muzyczne“ też dźwigają, jeśli można się tak wyrazić, „semantyczny“ ładunek, t. zn. zastępują wyrazy“.

Zespolenie teorii socjalnego zamówienia, sztuki dla mas z futurystycznym w swej genezie „instrumentowaniem“ wierszy — w tem właśnie leży źródło wewnętrznej sprzeczności w poetyce Asiejewa, a jednocześnie źródło jego siły, — gdyż sprzeczność ta, stanowiąc nowy ton w poezji sowieckiej, wyróżnia Asiejewa spośród całej plejady „agitkorobów“ z Diemianem Biednym na czele.

„Wyrobnikiem formy wierszowej“ nazwał gdzieś Asiejewa Bucharin. Bodaj czy nie jest to najtrafniejsze określenie. Należałoby dodać, że jest to wyrobnik bezwzględnie utalentowany i o wielkiej kulturze, i choć dotąd jeszcze uprawia przeżyty już na terenie Związku Radzieckiego, a tak niewdzięczny dla poety rodzaj, jakim jest „agitka“, nawet tę formę zdołał wnieść do wyżyn prawdziwej poezji.

P Ł Y N A C

Przecież masz
a więc spójrz — silny tors, młodą dłoń:
Niech do uszu — u twych stóp sina toń.
poco masz te słowe ci lgną:
iść przed czasem
na dno.
Jakiż sens
pod podeszwą w rozmarzeniu ci mdleć:
Jakiż sens masz grunt, więc go gnieć!
dać się głupstwow spływać żalem i łzą,
Skoro serce unosić i snom?
i słońce — to lont,
trzeba skakać i płynąć pod prąd
i rozcinać tę ciszę napłask.
Czy jaskółka w słoneczny
mkniesz blask?
Prężąc mięśnie u ramion i nóg, —
płyn, a żaden nie oprze się wróg.
Cały świat już za tobą mknie wdal
wśród wesółych, wśród sinych tych fal.
Przepłynąłem już rzeki mej pół,
choć niejedną się spisek tu knuł.
Wciąż do uszu mych słowa te lgną:
poco iść masz przed czasem na dno?
To nie kaprys dziecianny, nie żart,
salto w wierszu, a w życiu mem hart.
Nie, w marzeniach nie będę tu mdleć:
pod nogami masz grunt, więc go gnieć.
Ja się nie dam tęsknotom ni snom
i nie płynąć w mych wierszach już łzom.
Prężę mięśnie u ramion i nóg,
płynę naprzód, w triumfu dmąc róg
wśród uległej mym członkom gry fal,
wśród wesolej, wśród wody wciąż wdal.

A poza mną
na rzece łni znak:
wodne lejki
stebnują mój szlak.

NIKOLAJ ASIEJEW
Spolszczył K. A. Jaworski

CZYTELNIK WIERSZY

Gdy mówią wam, że ten, że tamten czy ów
przerzuca kartki prozy, przegląda gazety...
Co daje mu to, pytam was? — Niestety,
nie daje nic i szkoda słów.
Lecz jeśli wam powiedzą o kimś innym tak:
cytuje „Fausta“ i Szekspira czyta —
co w takim razie daje to, zapytam?
O, daje wiele! Fakt.

Czytelnik wierszy nie zwykły czytelnik.
Czytelnik wierszy to mistrz.
On-ci jak dzieciol po rymach nie bębni,
nie węszy tylko sercowych zgliszcz.
On słyszy barwy, widzi dźwięki słodkie,
odczuwa patos, humor i łzy:
za cenny kawior literackie płotki
nie wepchną jemu pęcherzyków swych.

Nie wzmówią w niego, o zajęczkach bając,
że to są Lwy! (ba, i Tołstoja ród!)
A co takiego czytelnik-prozaik?
Byleby głośniej — i jużes go zwiódł.
Jest tak obojętny. Czytuje w wagonie.
Opuszcza pejzaże, miłość mu w smak;
Gładkow i Olesza, Priboj i Afonin —
ach, wszystko mu jedno. Tak dobrze i tak.

A nasz, owiany naszymi snami,
jak bolid mknący spala się w perz,
a nasz jak krewny oddycha z nami
i wie, co rozkosz i ból zna też.
Czytelnik prozy -- przeczytał, ano
innego daj tu, tamtego zniszcz...
A nasz się pieści z książką jak z panną.
Czytelnik wierszy to mistrz.

Jeszcze go dzisiaj dobrze nie znacie,
dojrzewa właśnie jak burzy grom,
nie uwzględniono go dziś w Gosizdacie,
lecz losem naszym włada wszak ON.
Jakżeż to często krytyk streptokoki
wiersz duszą tak jak kota jad,
i pod zasłoną gęstej dymagogii
w globusie małym pomieścić chcą świat.

Ileż to razy na mieliźnie już
ryczysz: „Obrzydło! Do djabła! Złamano!“
i jak pralinę z poziomek czy róż
wessałbyś smacznie kulę ołowianą...
I nagle... gdy się z sobą łaniesz sam,
przyjdzie list zdala, z nad jakiejś zatoki:
ach, to poety swego gdzieś-ci tam
czytelnik wierszy odczuł ból głęboki.
I wtedy, dusząc w zębach śmiech swój, znów
żyjesz, bo wieść ta stu Wagramów warta!
I znowu idziesz. Pośród wycia psów
Swoim. Codziennym. Krokiem. Lamparta.

ILJA SIELWINSKI
Spolszczył K. A. Jaworski

*
*
*

I znowu Szopen bez korzyści,
Lecz w locie uskrzydając męstwo,
Toruje niezawodne wyjście
Do prawdy z prawdopodobieństwa.

Podwórza, płoty z przełazami,
Chaty w pakulach i dranicach,
Dwa klony, trzeci, nagle za nim
Rajtarska wznosi się dzielnica.

Dzień cały klonów cień nad dziećmi,
Gdy my palimy lampy nocą,
I kiedy liście, jak serwetki,
Krusząc się dżdżem ognistym złocą,

Wtedy, nawskroś białych piramid
Ostrzami przewierciwszy mroki,
Chwiejąc kaszтанów namiotami,
Muzyka grzmi z otwartych okien.

Grzmi Szopen, z okien runął nagły,
A zdołu pod melodji gromy
Wznosząc kaszтанów kandelabry,
Na gwiazdy patrzy wiek miniony.

Wahadłem gromad kołyszące,
Jak biją w rytm jego sonaty
Godziny prac, rozjezdnych nocy
I snów bez śmierci i fermaty!

Więc znowu z pod akacyj śniegu
Pod karet pęd i w gwar Paryża?
Znów bieć, potykać się jak w biegu
Życia trzęsący się dyliżans?

I znowu dzwięczeń, dzwonić, gonić,
Krwiań tuczyć ciało, co pożera,
Znów rodzić płacz, lecz łez nie ronić,
I nie umierać, nie umierać?

Więc znów w wilgotną noc przy gwiazdach,
Malpostem jadąc z gości w gościę,
Podłuchać śpiewu na zajazdach
Kół, liści i rzucanych kości.

I wkońcu z motka nić wyprzędzisz
I cudem zatrzymując w pędzie
Krzykaczy w mgłę towarzyszących,
Zmrozić fortepian rąk rozpięciem?

Wiek potem w walce niepobity,
O białe zaczepiwszy kwiaty,
Rozbić o gromad ludzkich płyty
Sprawiedliwości biel skrzydlatej.

Znow? I, uczciwszy kwiatostany
Grzmiącym obrzędem fortepianu,
Runąć stuleciem dziewiętnastem
Na stary kamień trotuaru.

BORIS PASTERNAK

Przełożył Mieczysław Jastrun

L A T O *)

To Irpeń — wspomnienie o ludziach i lecie,
Swobodzie, ucieczce z niewoli złych dni,
O sośnie śród znoju, o szarym powoju,
Odmianie pogody, ulewy i mgły.

O białej werbenie, o cierpkim cierpieniu
Żywicy; o drubach, dla których nie znów
Nie znaczą pochwały, ni moje chęlpienia,
Ni moje słopiewnie, ni prózna cześć słów.

Wilg nagłe zjawienie — ich krzyk przeraźliwy—
Żółciło drzew korę w kitajkę i czerń,
Lecz sosny nie chciały poruszyć igliwem,
Wiewiórkom i żolnom najęły swój cień.

Zawilgły komody, o zmianie pogody
Z gałązki drzewianka przyniosła nam wieść,
I dudek zamieszkał na belce przy schodach,
By dzieciom dogodzić—za piecem grał świerszcz.

W dni zjazdu sześć kobiet szło tany swe wieść.
Leniwie się pasły woddali obłoki.
Zmierzchało; wymyślnym manewrem zmrok parł,
Płonące łopiany powiązał z półmrokiem,
A z ziemią — sążnisty cień ostów wysokich,
A z niebem — pasiastych zapasek pożary.

Zmierzchało; na klęczki stawiając przestworze,
Horyzont wzdłuż brózdzy zamykał się wkrąg.
Jak rogi jelenie wdymały się zorze
I z siana wstawały i brały je z rąk
Od dziewcząt, co bojąc łobuzów się może,
Na hak, po powrocie, drzwi zamkną od łąk.

I tuż przed wyjazdem, stąpając po sypkim
Listowiu, opadłem w malignę i żar,
Jam z nieba, jak z warg zaciągniętych wysypką,
Przemilczeń powłokę rękawem swym zdarł.

A jesień, dotychczas krzycząca czaplami,
Przetarła już gardło; pojeśliśmy tu —
Jesteśmy w odwiecznym prawzorze ci sami
Na uczcie platońskiej w czas dżumy i snu.

Skąd znowu ta rozpacz i żal, Diotimo?
I gdzież zapewnienie, co przerwie twój lęk?
Po serca ulicach z ciemnicy oczyma
Drzwi szerzej! Za przyjaźń! Zbawienie mi śle!

Czyż to są też Mary-harfistki zaśpiewy,
Że losu igraszką pod dłonie jej legł
I harfą huragan pustynny rozbrzmiewa,
Wieczności, być może, rękojmia i brzeg.

BORIS PASTERNAK

Przełożył Seweryn Pollak

*) Wiersz, wyjęty ze zbioru p. t. „Z nowej liryki rosyjskiej”, który w tych dniach ukazał się na półkach księgarskich.

OGNIE SZTUCZNE W LESIE

(z powieści „Kolchida”)

Tego dnia barometr w pokoju Gabunji wskazywał: „jasno“.

Od rana Gabunja i Micha niepokoiłi się. Micha często spoglądał na niebo, czy nie widać chmur. Ale nie było. Błękitny dzień wstawał nad ziemią w bezwietrznej i głębokiej ciszy. Słychać było tylko głuchy huk siekier; to cieśle kłecili w lesie na brzegu kanału długi stół i ławki.

Robotnicy-Mingrelowie golili się w barakach. Beczo i Gulja rozciągali nad kanałem ogromny plakat z napisem: „Sowiecka Floryda“. Sioma nabijał gilzy papierowe tajemniczym proszkiem. Od rana gwizdał i krakał, co było u niego oznaką dobrego humoru. Goście zaczęli się zjeżdżać koło południa. Pierwsi przyjechali Kachiani, Pachomow i Wano Achmetelli, potem Czop i Newska. Grisza przybył na czele orkiestry milicyjnej.

W wodzie kanału odbijały się czerwone sztandary. Ljany zwieszały się z drzew nad stołem, nakrytym na sto osób.

Stary właściciel duchanu *) „Będziesz miał co przekąsić“ lamentował, że do stołu nie starczyło obrusów. Z wędrowniej kuchni wzbijał się ku niebu zapach pieczonej baraniny i mieszał się z wonią liljowego wina „Izabella“.

Przez kanał przeciągnięto nad samą wodą wąską czerwoną wstęgę. Kachiani z Gabunją i najstarszym człowiekiem przy kanale, Artemem Korkiją, zeszli do motorówki.

Sioma, wygolony i uroczysty, stał przy sterze i przytrzymywał motorówkę bosakiem.

Stał wyprężony, jak to było we zwyczaju w wojennej flocie. Sioma też rozumiał, co to porządek, i przypomniał sobie dawną dyscyplinę na okrętach.

Robotnicy zebrali się na obu brzegach.

Kachiani machnął ręką. Sioma włączył motor.

Zadanie polegało na tem, aby przeciąć wstęgę dziobem motorówki. Nie było to rzeczą łatwą.

Sioma przymrużył oko, wyjął fajkę i wpił się wzrokiem we wstążkę. Motorówka pędziła przez wodę, huczała i nabierała szybkości.

Dziób jej uderzył w środek wstążki, napiął ją, wstążka pękła, końce jej okręciły się w powietrzu i motorówka pomknęła naprzód przez kanał, wydając szybkie, ogłuszające strzały.

— Hip, hip, hurra! — krzyknął Sioma i podniósł rękę.

Odpowiedział mu wielogłosy krzyk na brzegach. Orkiestra zaczęła grać „Międzynarodówkę“

(Nazwa gospody na Kaukazie)

Robotnicy zdjęli czapki. Sioma wyłączył motor. Wszyscy w łodzi wstali.

Po raz pierwszy dziewicze lasy słyszały muzykę i głuchy chór głosów

Newska spojrzała na Czopa. Salutował opaloną ręką, która wydawała się czarną przy bieli kitla. W całej jego postaci widniały opanowana siła i spokój. I Newska pomyślała sobie, że ludzie niezbyt często słyszą „Międzynarodówkę“, tę uroczystą muzykę, i za każdym razem ją odczuwają jako podsumowanie ogromnych wysiłków, jako muzykę zwycięstwa, jako zakończenie pracy. I dlatego zapewne tak wyraźnie blednieją ich twarze.

Gdy orkiestra umilkła, Kachiani krzyknął do robotników:

— Gamardzoba, towarzysze. Winszuję zwycięstwa.

— Gagimardzos! — odpowiedział tłum.

— Towarzysze, — rzekł Kochiani. — Kanał już skończony i możemy sobie pozwolić na jeden wieczór wypoczynku i wesela. Dokonałiście wielkiej pracy, towarzysze, wszyscy, od starców do młodych inżynierów, wychowanych przez władzę sowiecką.

Dziękuję wam w imieniu partji. Zwyciężyliście moczary, lasy, ulewę i febrę.

Nietylko osuszyliście kraj, lecz uczyniliście znacznie więcej. Pozwólcie, że opowiem wam o dwóch wypadkach. Nie zawierają w sobie żadnej poezji, tylko nagą prawdę.

Oto starzec Artem Korkija przez całe życie nosił na piersiach pusty orzech z wysuszonym pajakiem. Ten orzech nosili jeszcze jego dziad i ojciec. Wiecie o tem, że w dawnych ograniczonych czasach mieszkańcy tych moczarów uważali pająka za najlepszy środek przeciw febrze. Staruszki szeptały nad pajakiem modlitwy i ludzie wierzyli, że ten pajak i ten starczy szept ratują ich od chorób.

I oto Artem Korkija przed chwilą zdjął ze swej szyi ten orzech i wrzucił go do wody „Poco mi orzech i pajak — powiedział — skoro inżynierowie zabijają malarzę lepiej od wszelkich pajaków?“ Widzicie oto, jak wasza praca spaja człowieka z kulturą.

Muszę wam, towarzysze, powiedzieć jeszcze o jednej rzeczy, niektórzy mogliby ją opacznie zrozumieć. Powiem o posągu kobiety z Phasis, znalezionym w moczarach. Nie znam się zupełnie na rzeźbie. Jestem meljoratorem, a nie Michałem Aniołem albo Antokolskim. Ale ten fakt, że wczorajszy myśliwiec Gulja i ten sam starzec Korkija zrozumieli, chociażby i niezupełnie jasno, ale jednak zrozumieli wartość kulturalną

takich przedmiotów, fakt ten cieszy mię niezmiernie, towarzysze, choćbyn sam nie orjentował się zupełnie w subtelnościach tego rodzaju.

My, towarzysze, weźmiemy sobie to, co jest najcenniejszego we wszystkich kulturach, stopimy to wszystko w ognisku naszej myśli socjalistycznej i bezwątpienia, odlejemy największą kulturę, jaką kiedykolwiek znała ludzkość.

Niech żyje nasz kraj podzwrotnikowy! Twórzycie go własnymi rękami. Weselcie się i odpoczywajcie, towarzysze! —

Po mowie Kachianiego wszyscy ruszyli ku ogromnemu stolowi. Dokola niego biegał gospodarz duchań z szarą spocną twarzą. Gorszył się wciąż i cieszył. Cieszył się, że po raz pierwszy w życiu urządza taką ucztę pod otwartem niebem, ucztę na sto osób, a gorszył się, że nie starczyło obrusów i może zabraknąć naczyń.

Pachomow patrzył na ucztujących przenikliwie i wesoło.

— Jesteście argonautami,—mówił do Gabunji.— Jak Jazon odkrył w Kolchidzie złote runo, tak wy odkryliście zwrotniki. A czy zastanawialiście się kiedy, co się w starożytności nazywało „złotem runem“? Zwykła skóra barania. Kładziono ją na dno złotonośnej rzeki, przywalano z boku kamieniami, żeby prąd jej nie uniósł, i woda znosiła do szerści złotonośny piasek.

— Bardzo proste, — powiedział Kachiani, — i niema tu żadnej poezji. Chałupniczy sposób wydobywania złota. Fakt!

— W tem, co jest bardzo proste, tkwi wiele poezji,—miętko odparł Pachomow.—Legendy zawierają w sobie ziarna przyszłości. Dążenie człowieka do rzeczy wysokich stwarza legendy. Mit o Ikarze to najpiękniejszy z mitów. Ikarem stał się każdy dzisiejszy lotnik. W micie o Jazonie jest mowa o tem, jak to on orał pola przy pomocy zionących ogniem byków. Czem właściwie są te zionące ogniem byki?

— Traktorami, — roześmiał się Gabunja.

Pachomow skinął głową. Czop wybuchnął śmiechem.

— Człowiek powinien wierzyć w swe siły, a wtedy zmusi rzeki do zmiany biegu i będzie hodował cytryny w Syberji. Mówię poważnie. Człowiek powinien wierzyć w siłę swej sztuki. Gdy uczestnik wyprawy argonautów, poeta Orfeusz, śpiewał i grał na lutni, morze przestawało szumieć. Grecy pisali o tem zupełnie poważnie. Wierzyli w to naiwnie. Wierzyli w siłę sztuki, a technika, towarzyszu Kachiani, to również sztuka. Będziemy wierzyć w nią, jak Grecy wierzyli w lutnię Orfeusza.

Wy wcielacie w życie mit o zdobyciu Kolchidy, o złotem runie, o śmiałej wyprawie argonautów. Cześć wam i sława!

-- Ja was bardzo, towarzyszu, szanuję,—mruknął Kachiani i zmieszał się. — Dlatego wam wierzę. Niechaj będzie i tak, proszę!

Newska przysłuchiwała się rozmowom. Słyszała słowa o Jazonie, o legendach, o traktorach i lotnikach, słyszała wesóły gwar robotników, przeraźliwy śmiech Michy, ochryply głos Gulji, szczebiotanie dzieci i opanowane żarty Czopa.

Orkiestra grała nieznaną, gwałtowną melodię. Słońce włożyło się po obrazach, szklankach, butelkach, po ciemnych rękach ludzi. Słońce zaglądało do szklanek i przeświecało wino czerwone. Słońce zamieniało ogryzki owoców w złote łupiny

Było gwaro i prosto, jak bywa w wielkiej zgodnej rodzinie.

Newska milczała. Nie opuszczało jej nieomyślne uczucie, że przed chwilą stało się z nią coś dobrego, z czego nie zdaje sobie sprawy. Ale co takiego?

„Przyjaźń,—pomyślała nagle. — Nastąpi prawdziwa przyjaźń, to, co może być najlepszego na świecie. Tylko w pracy, w niebezpieczeństwie, w walkach i zwycięstwach, porażkach i sporach wykuwa się to uczucie, właściwe naszej epoce, największe z uczuć ludzkich“.

Newska spojrzała na robotników. Wielu z nich uśmiechało się do niej i wznosiło za jej zdrowie toasty. Byli dumni z niej — kobiety-uczonej, tej kobiety, która pracowała z nimi ramię przy ramieniu przez całą noc w ulewie, rozmawiającej tamy. Byli dumni z Newskiej, pięknej kobiety w niezwykłej lśniącej sukni.

Spojrzała na Gabunję, Kachianiego, Pachomowa. Wszyscy byli przyjaciółmi. Kontynuowali swój spór o mitach.

Wzrok jej zatrzymał się na Czopie. Christoforidi, Jodełka i Soso patrzyli na kapitana z otwartymi ustami.

Opowiadał im coś i przybierał surowy wyraz twarzy. Potem roześmiał się i dzieci zawtórowały mu dźwięcznie. Newska roześmiała się sama, nie wiedząc czemu.

Słońce dotknęło wierzchołków drzew. Szybko zniżało się ku zachodowi. Ukośne jego promienie zamieniły listowie w stopy brązu.

Słońce już tonęło w morzu, za roztoczem lasów, gdy ogólny rozgwar i śmiech przeciął wysoki, prawie dziewczęcy głos Michy. Wszyscy ucichli. Micha śpiewał starą gruzińską pieśń:

Iraklej miał państwo i chwałę,
lecz kupić nie wszystko mógł:

królowa go nie kochała
i nie puszczala na próg.

Gabunja, nachylony ku Newskiej, tłumaczył jej słowa pieśni. Pachomow zastonił oczy ręką, Kachiani wpatrywał się w kanał, gdzie sączyła się ciemna i czysta woda. Odbijało się w niej niebo wieczorne.

Król do ogrodów wychodził,
samotnie błąkał się tam
i śmiali się z niego młodzi,
że spędzał noc całą sam.

Czop drżącymi palcami kręcił pustą szklankę od wina. Znał język gruziński i rozumiał pieśń. Przeklęte to życie na morzu! Zdawało mu się, że śpiewają o nim, starym marynarzu, który nigdy nie zaznał miłości.

Ja mam przy duszy szalwary
i kindżał za pasem mam:
z uśmiechem królowej Tamary
bogactwo królewskie znam.

Ciężki kwiatek uderzył Czopa w rękę. Posypały się ciemne płatki.

Kapitan pokręcił kwiatek w ręku i wetknął go do butonierki. Poznał go: takie czarne już okwitające róże były tylko na stacji podzwrotnikowej.

Spojrzał na Newską. Końce jej ust drgnęły. Powstrzymała uśmiech, lecz nie patrzyła na kapitana.

— Hallo! — krzyknął nagle Sioma i zaczął krzesać nogami o ziemię, przebierając niemi szybko. — Hallo! Żyjemy dalej, ladies and gentlemen!

Robotnicy zerwali się. Zagrzmiała lezginka i Gabunja pomknęła w lekkim zawrotnym płasie. Za nim Micha. Strącał rękawami ze stołu szklanki z winem i wykrzykiwał dziko.

Bębny uderzały glucho i pośpiesznie. Robotnicy tłoczyli się wokół tańczących i klaskali w ręce:

Jeszcze raz! Jeszcze raz!
Jeszcze jeden, jeden raz!

Krzyki wzrosły, gdy do koła wskoczył gruby gospodarz duchanu. Zawirował jak bąk, rozdymając szerokie perkalowe spodnie, ściągnięte w kostkach. Uderzył nad głową w dłonie i szybko obiegł koło:

Asz! Asz! Asz! Asz!

Lekki kurz wzniósł się nad lasem.

Lecz ogólny zachwyty osiągnął szczytu, gdy do koła weszła Newska. Jej lśniąca zielona suknia podnosiła się i szeleściła, owiewając twarze ciepłym wiatrem.

— Hurra! — krzyknął Christoforidi i zaczął kręcić się w kółko dokoła tańczących: „Czyścim—błyścim, błyścim—czyścim!“

Za nim poszedł kręcić się Soso.

Artem Korkija potrząsał kijem i kaszłał. Gulija przytupywał w miejscu.

— Nareszcie radość nastąpiła i na naszych moczarach, kaco! — krzyknął Korkija.

Czop posadził Jodelkę na ramieniu, żeby mogła lepiej widzieć tańce.

Najwięcej ze wszystkich szalał Wano Achmetelli. Niech djabli wezmą wszystkie nutry!

Muzyko, nie ustawaj!

Wano tańczył zaciekle i upojony. Przelatując obok Jodelki, cmokał językiem, czekał i wywracał dziko oczami.

Jeszcze raz, jeszcze raz!

Jeszcze jeden, jeden raz!

— Oj, śmiech mnie dusi, gdy patrzę na tych ludzi—krzyknął Grisza i wpadł do koła.

Wszyscy zatrzymali się. Grisza tańczył z taką szybkością, że go prawie nie było widać.

Tańczący oderwali się od niego jak od kręcącej się i gotowej wybuchnąć lada chwila bomby.

Tymczasem niebo przeciął nagle przeraźliwy świst i obok gwiazd pękła i rozsypała się ognistym śniegiem rakiet. Sioma rozpoczął swój fajerwerk.

Rakiety wylatywały paczkami i strzelały z ogłuszającym hukiem. Wówczas dopiero zauważono, że już noc — błękitna, wczesna noc, pachnąca prochem i winem.

Na brzegach kanału zapłonęły ogniska. Woda zamieniła się w płynny płomień. Mienił się w nim purpurowy ogień, rozpruty białeni łukami wylatujących wgórę rakiet.

Tysiące świetlików mknęło przez zagaje, zapalając się i gasnąc. Zdało się, że gwiazdziste niebo spuściło się ku ziemi i leci ponad lasami i kręci się jak wichra, to odlatując w obawie przed ogniem bengalskim, to znowu ciskając swą szarfę po wierzchołkach drzew.

Jeszcze raz, jeszcze raz!

Jeszcze jeden, jeden raz!

Jodelka zasnęła na ręku kapitana. Odniósł ją do pokoju Gabunji i położył na wąskim składanym tapczanie. Różowe i białe światło ogni sztucznych przelatywało jak ciepłe błyskawice po uśmiechniętej twarzy posągu z Phasis.

— Ach, potrzykroć przekłete życie marynarza! — rzekł kapitan.

Stał przy oknie i patrzył na ogniste cuda, dziejące się na niebie.

Cicho weszła Newska. Podeszła do Czopa, położyła mu na ramieniu gorącą i delikatną rękę i długo patrzyła na trzaskające i dymiące ognie. Czop bał się poruszyć.

Oboje milczeli.

Potem Newska tak samo cicho wyszła. Czop usłyszał szelest jej sukni, słyszał, jak drzwi trzasnęły i nagle noc zakręciła mu się w oczach jak karuzela.

Czop chwycił ramę okna i przesunął dłonią po oczach. Dłoń była wilgotna.

— Dureń! — mruknął. — Czterdzieści siedem lat się trzymałem, a teraz się poddałem.

Noc grzmiała muzyką, strzelała ogniami, krążyła śpiewem i Czop pomyślał, że dopiero w czterdziestym siódmym roku życia zrozumiał, co to jest szczęście.

Odwrócił się szybko i wyszedł.

KONSTANTIN PAUSTOWSKI

OSTATNIA KSIAŻKA BRZECHWY*)

Trudno bardzo jest poddać, a co dopiero zdefiniować, atmosferę tak kameralnej, że aż prywatnej twórczości Jana Brzechwy, tem trudniej, iż właśnie atmosfera stanowi tu o wszystkim. Symbolizm jej jest jawny, lecz jest to ów gatunek symbolizmu, który nieodłączny jest od procederów literackich, co pociąga za sobą — niewiadomo czy usprawiedliwione — poczucie wtórności. Zdematerializowanie, halucynacyjność, odziemskość tak bardzo osobiste przybierają tony, iż wiersze te graniczą niekiedy z logogryfami, umiejętnie złożonemi. To jest wątpliwość, a nawet papierowość tej prawdziwej w sferze wzruszeń poezji. Kiedy apeluje do wzruszeń zbiorowych, jak w cyklu wstępnym, poświęconym śmierci Marszałka Piłsudskiego, kiedy wychylić się pragnie poza zaklęty krąg egotycznych zamyśleń, poeta ten tworzy rzeczy inteligentne, a nawet ujmujące, lecz

*) Piolun i obłok, Warszawa 1935: Tow. Wydawnicze w Warszawie.

blade i niepozbowione truizmów Jest to bowiem, jeśli rzecz tak wolno, twórczość umowna, zakładająca przyjęcie z góry pewnego słownika, pewnej terminologii i, na wiarę niejako, przeżyć, które tym terminom estetycznym odpowiadają.

Są tu akcenty świetne i przejmujące, lecz nigdy nie wykraczające poza osobistą intymność. Dziwnie przerysowane lub niedorysowane obrazy—a raczej ich szczątki—sugerują dramat jaźni, która zmuszona jest poprzestać na sobie. Dla takiego poety dramat miłości staje się zawaleniem osobowości, — i to właśnie opiewa większość wymownych jego liryk. Prawie wszystkie są piosenkami, lecz piosenkami bardzo wyrafinowanymi, zagranymi z pozorną nonszalancją na niewielu strunach. Brzechwa—to poeta, bardzo wstydlivy, co więcej, zamaskowany. Twórczość jego jest maskaradą uczuć, które zaledwo przyznają się do istnienia, uczuć domyślnych. Dlatego tyle w tym tomie dyskretnych ładności. Jest tu skądinąd sprzeczności mnóstwo. I tak wybitna kultura wersyfikacyjna autora, jego całkowita odrębność, szczególnie kłóci się z wyraźnymi nieporadnościami, których możnaby przecie uniknąć. Zawite konflikty myślowe, gorycz refleksji, i poczucie daremności intelektualnego poznania wyrażają się zarazem w formie bez porównania klarowniejszej, niż w zbiorach poprzednich. Znać tutaj ciągły wysiłek ku prostocie. Łagodność tonacji (patrz dwa arcydzieła „Niema nic, moja miła“ oraz „Elegja“), spokój i wysilona harmonja graniczą tuż z najbardziej wstrząsającym tragizmem, z poczuciem iluzoryczności własnej osoby i wobec tego całego świata. Bardzo często powtarza się słowo „urojony“, a przecie ową urojoność pragnie autor poddać w sposób możliwie wierny, werystyczny. Są to jakby wiersze znikąd i pisane do nikogo, dialog z samym sobą. Przez swą sugestywność i estetyzm przypominają (patrz „Pocieszenie“) sztuczne, żalosne i nikłe poemaciki Maeterlincka z późniejszego jego okresu (cykl „Douze chansons“).

Interesujące są tu dwa wiersze: balladowa „Noc w ogrodzie“ oraz epicka „Noc w mieście“. Są tu możliwości odmiennego stylu, przeobrażeń. Cała reszta, pomimo wyraźnych zalet, sprawia wrażenie kogoś, kto nie pragnie i nie może zbudzić się z katalepsji. Jest przywiązany do swej hipnozy, jak ludzie chorzy do choroby Wstrząsa nimi dygot maligny i febryczne widzenia mającą przed szeroko rozwartą źrenicą. Mówią o nich półszepem, w lęku i zachwycie, mówią bardzo samotnie, bo i któż ich zrozumie?

STEFAN NAPIERSKI

PRZEGLĄD POEZJI

Juljusz Grot: Sprawy ludzkie, Warszawa, 1935.

Wiersze są naogół gładko napisane, czyta się je z przyjemnością, ale co krok odzywa się jakieś znajome echo. Zdziwiająca jest w tym autorze bezwiedna, nieuświadomiona łatwość mimikry literackiej. Jeden z wierszy zbioru ma tytuł „Wiosna à la Tuwim“, tymczasem chciałoby się powiedzieć Grot à la Tuwim lub à la Broniewski. Oto „Czarny kraj“, pobrzmiwający wyraźnie w rytmice, nastroju i obrazowaniu „Pieśnią o wojnie domowej“ Broniewskiego. To znów „Luty w Paryżu“ kojarzy się z „Balladą o Placu Teatralnym“, a wiersz „Jeszcze długo będę się krwawił“ z „Troską i pieśnią“. Grot kończy ten utwór słowami: „A gdy umrę, — to wśród gromów, a gdy padnę, — to łuną obłany“ — a Broniewski: „Lecz w tym huku zostanę młodym, jeśli grom — niechaj trafia mnie“. „Wywiad ze mną“ przypomina znowu „Wiersz o wczesnej wiosnie“ i t. d. Ale Tuwima jest jeszcze więcej. Te wszystkie „bengalskie fajerkierki“, salamandry, feniksy, strzygi, egzorcyzmy, butle lejdeckie, finty, wolty i inne magiczne sztuczki wyszły przecież z czarnoksięskiego tygla mistrza Juljana („Hokus-Pokus“), a ostatnia strofa „Bigosu i kiszki“, abstrahując od zapożyczeń innych zwrotek tego wiersza, jest prawie identyczna z tuwimowskim „Suum cuique“: u Grota: „innym sława, innym Warszawa, dla mnie: bigos i kiszka krwawa“, u Tuwima: „komu attyckie dzieła, włoskie słońce, muzea i inne wspaniałości, a mnie w szynku w dzień dżdżysty duże jasne po czystej i sztukamię przy kości“ Przykładów możnaby mnożyć dalej bezliku.

Dziwne wydaje się u Grota połączenie tematów rewolucyjnych z takimi np. oto wyznaniem: „cedzę jak becзка, żrę za dwóch, a modłę się do Rabelais'go. Że z przejedzenia boli mnie brzuch — nie wtykaj nosa do tego“ — albo nazywanie siebie „królem żarłoków“ Wogóle dużo pozy, manieryzmu przebrzmiałej bohemy: „kawaler księżycy“, „książę grandziarzy“, a obok tego: „poprzez wieki, grobową ciszę, gdy zakończy się krwawa gra, dojdzie was mój głos, towarzysze: niema śmierci. Socjalizm trwa“. Jak to uzgodnić? I jak poeta, pragnący budować przyszłość, może mówić: „czczę kismet, jestem fatalistą“? A ta fanfaronada młodzieńcza? Przecież od debjutu Grota („Zakochany elektron“) upłynęło już sześć lat! Rozbrajające jest wyznanie: „w dialektyce nie byłem tęgi“ i że „trzeba rękę machnąć i brnąć dalej w mojem nieuctwie“ i że „chaos mam we łbie“. A szkoda. Grot jest bezsprzecznie zdolny i po-

trafilby napisać dobre wiersze. Trzeba tylko koniecznie przewyciężyć tę przerażającą łatwość ulegania wpływom i wprowadzić więcej samokrytycyzmu.

Jadwiga Korczakowska: *Krokusy*, W-wa, Tow. wyd. „Bluszcz“ 1936.

Tematyka tych wierszy ma szczupłą rozpiętość: trochę wrażeń z podróży, nieco obrazów natury, sentymentalna łezka przy zetknięciu się z nędzą ludzką i dużo ero-i egotyzmu. Z trzech części zbioru najlepiej prezentuje się pierwszy, gdzie spotykamy parę utworów szczerze odczuty i ujmujących swą bezpośredniością, np. „Takie jest moje święto“, „Dziecko“, „Instynkt“ (zepsuty banalnym egzotyzmem „księżycowych nocy nad Tahiti“). Czterowierszowe fotografie z drugiego cyklu nazbyt trącą Pawlikowską, która zresztą często się przypomina przy czytaniu tego zbioru. Są i wyraźne echa Iłakowiczówny („Trzej królowie“), nawet Kruszewskiej („Letnisko“). W trzeciej części niezły jest tuwimowski „Pogrzeb“, dość udatny „Wierszyk naiwny“. Sporo jest jednak w „Krokusach“ wierszy kiczowatych, przypominających sentymentalne piosenki rewjowe. Nawet przy czytaniu „Grobu nieznanego żołnierza“ dysonansem odezwie się Ordonka (Musiś zabijać! Musiś — musiś!), a cóż dopiero mówić o „Dziewczynie portowej“, która się tak typowo zaczyna: „W małej portowej kawiarence przy brudnej ulicy ktoś białe łamie ręce, godziny minuty liczy... Garbaty skrzypek smutno walczy gra... POCO ten cały kram? Naco czekanie?“ i t. d. Gdzieindziej czytamy znowu: „byliśmy szczęściem pijani“ lub „zagrani nasze tango i tańcząc z gigolo pomyliłam krok“. Stosunek do natury wybitnie mieszcuchowski: te wielkie świerki „w puszystych grzywach“, to „powietrze jak lemoniada“ czy „kielich cocktail'u-powietrza“, te „lśniące obrusy“, nawet niezaradność epitetów i terminologii górskiej: „za ścianą ostrych źleńców“ (?). W zetknięciu się autorki z zagadnieniami społecznymi, z taką „Władką“, „Felcią“, „Żebraczką“, „Robotnikiem“ i t. d. wyczuwa się wprawdzie jej współczujące serce, ale jednocześnie trąci to filantropijną łezką „leniwej damy“, którą „od ludzi dzieli szyba“. I Korczakowska najbardziej jest sobą, gdy pisze o własnych smutkach i smuteczkach. Reasumując, — zbiorek świadczy o możliwościach poetyckich autorki w zakresie pewnych tematów, musi się ona jednak wyżyć ulegania wpływom innych piór kobiecych.

Leon Pasternak: *Dzień pochmurny*, W-wa 1936.

Omawiając w ubiegłym roku pierwszy zbiorek Pasternaka „Naprzeciw“, zwróciłem uwagę na bezsprzeczne zdolności poetyckie autora oraz na niebezpieczeństwa, grożące jego talentowi,

gdy zechce nadal wtórować Majakowskiemu. Ale już w pierwszej książeczce lepsze utwory poety odbiegały od utartego przez autora „150 milionów“ szlaku i nie tracąc nic na swym charakterze ideowym, były bardziej dyskretne w tonie. Z przyjemnością teraz można stwierdzić, że Pasternak poszedł właśnie tą drogą. Niewielki zbiorek z symbolicznym tytułem „Dzień pochmurny“ ma znaczny ciężar gatunkowy. Jestto cykl wierszy więziennych, jednolity i zharmonizowany w nastroju, swego rodzaju poetycki diarjusz szarych dni za kratą. Dni monotonych, kiedyto, „sześć kroków od drzwi“ i sześć spotworem „chodząc mierzy(my) się godziny“, a urozmaiceniem jest chleba kawał i czarna kawa czy też obiad, który „piętami szurga i dudni“. Kiedy rozrywką jest śledzenie nieba za kratami, gdzie chmury przybierają najrozmaitsze kształty, czy lotu gołębi i aeroplanów, którym towarzyszy westchnienie: „kiedy to samoloty jak gołębie wieścić będą pokój“, albo spacer „dwójkami wkoło“. I nocy, kiedy oblegają natrętne wspomnienia, a wysubtelniony słuch łowi „wieści ścienną przenośnią, dźwięki z górnej galerji, jęki z głębokich piwnic“, a „ściany przewodzą alfabet“

Piękna jest skupiona powaga tych wierszy, głęboko przeżytych, i ich ukryty za pozornem opanowaniem dynamizm: więzień, zdaniem poety, to „ładunek w pocisku“, a więzienie — „groźny arsenał“, bo „myśli nie zamkniesz na klucz“. I tu za kratą żyje się dla idei, a wiadomość „zdradzono tkaczy“ — „w plecy uderza jak nóż“, i tu za kratą czeka się, „aż padnie chwila — wezwanie padnie — padnie rozkaz“. Metaforyka wynalazcza, celowa i dostosowana do ogólnego tonu: „czy ujdziesz, naszą miłość unosząc w serca spletanym węzełku“, „czuwa judasza oko“, „kajuta zakotwiczona na klucz“

Ten poetycki dokument współczesności zamykają słowa, które czytamy dziś z gorzkim uśmiechem: „może kiedyś tu jeszcze wrócę — oby w najkrótszy czas — i oby ze śpiewem na ustach“.

Jerzy Pietrkiewicz: Wiersze o dzieciństwie
Warszawa. Dom Książki Polskiej 1935.

Specjalna aura tych wierszy, wynikająca z epickiego nagromadzenia mnóstwa szczegółów, związanych z dniem powszednim, z autentyzmem przeżyć i nazwisk oraz elegijnego smutku tych wspomnień, nuży czytelnika swą monotonią. Właściwie są to utwory, pisane przez autora dla siebie samego tylko, bezwzględnie dla niego cenne i pełnowartościowe,^a przy zetknięciu jednak z czytelnikiem skazane nieraz na uderzenie w próżnię a więc profanację. A jednak, przedzierając się

przez ten gąszcz obrazów, często irytujących swą ilością, która zacierza tylko ich wyrazistość, natrafiamy tu i ówdzie na miejsca wzruszające i piękne. Sądzę, że gdyby Pietrkiewicz dziś wydawał swój zbiorek, zmienilby w nim niejedno, usuwając zbyteczny balast i bardziej kondensując treść.

Metaforyka Pietrkiewicza jest mało plastyczna, do czego się przyczynia pewna maniera w tworzeniu sztucznych i zawiłanych przenośni („O skrzydła płotu ojciec wsparł łokieć“, „matka krzątaniem naniosiła od drzwi suchego skrzydła“, „próg nóg szuraniem pogrubiał“ „czarny żal pokoju lampy śmiech wziął z pod klosza“). Trąci to echem Czuchnowskiego, ale właśnie do takich intymnych dyskretnych wyznań nie nadaje się zupełnie. Ale spotykamy nieraz obrazowanie trafne i wynalazcze, np.: „w kręgu lampy fruwały spojrzenia jak ćmy“ lub „wzdłuż szosy legendą jasną przewiało ciche auto“, „rozpłakały się dachy srebrem płynnym ku rynnom“ albo taki fragment: „Puste niebo spłynęło w białym chmurkach oddechu, kiedy gwiazdy jak myszy zagnał wdół na ulicę czarny kot, co miał w oczach dwa ukośne księżycy“

Trafiają się błędy językowe: „jak to jest z tamtym mostem, którego budował inżynier angielski“, „palcy“ zam. „palców“ lub miejsca zgoła niezrozumiałe (czy prowincjonalizmy?). Co znaczy np. „zamanówszy“?

Tak czy inaczej, mimo wspomnianych braków pierwsza książka Pietrkiewicza świadczy bezsprzecznie o jego talencie, którego rozwój stwierdzić można z utworów, drukowanych już później w czasopiśmie.

Stanisław Piętak: *Legends dnia i nocy*, Bibl. „Okolicy poetów“ 1935.

Po debjucie w „Alfabcie oczu“, osnutym przeważnie na tle wspomnień z dzieciństwa i chłopięctwa, zbioru, w którym oczy poety uczyły się abecadła świata, oglądanego przez pryzmat poezji, — Piętak wystąpił z drugą książką: „Legends dnia i nocy“ Autor zmężniał tu i dojrzał jako człowiek i artysta. Świadom swej mocy twórczej, z dumą stwierdza: „Dziś ja mam nad tobą władzę, o Siło“.

Niestety, siła ta to nietylko „chwała młodości“, ale przede wszystkim jej „męka“ I w wierszach Piętaka, zarówno w lirykach, jak i próbie epickiej „Zwycięstwa“, jakżeż przesiąkniętej przeżyciami własnymi, męka ta stanowi nutę dominującą. Ból poety ma jednak prawie wyłącznie charakter osobisty, a źródłem jego jest przede wszystkim miłość. Wprawdzie w „Zwycięstwie“ spotykamy pewne momenty społeczne (bandos Jan — nielitościwy ekonom, „zaklinałeś ją, by w nienawiści

do dworu chowała jedynego syna"), nie one jednak stanowią główny motyw poematu, a zabójstwo Łucji przez żandarma było przecież tylko dziełem przypadku, bo kula przeznaczona była dla Jana, mściciela krzywd osobistych, zabójcy, chroniącego się przed karzącą ręką prawa. Zresztą w ten „epicki“ poemat Piętaak wprowadza szereg dygresyj, wiążących się już wyłącznie z jego osobą i dziejami jego miłości, niezależnej od tragedji Jana i Łucji.

Co w tej książce jest najbardziej wartościowe, — to stosunek poety do natury i piękno pejzaży wiejskich. Czasem są to obrazy pełne plastyki i realizmu (świetna scena „swawoli“ szesnastoletniego podówczas Jana: jego harce na wieprzu i popłoch wśród dziewcząt; piękny obraz jeziora o zachodzie słońca, kąpeli Jana i dwóch dziewczyn nad wodą), kiedy indziej znów widoki są nawskroś przesiąknięte liryzmem i służą poecie za środek do przedstawienia przeżyć duchowych człowieka („Wyznanie“: żal, że „wiotkie dni pierwszego wzruszenia są tak daleko“, „Czas powrotu“: świadomość, że „cisza pól... najcięższą gorycz splócze technieniem nieobjętego ni w słowie uroku“). Piętaak ma rację, pisząc: „mam nad tobą władzę, o Siło“. Czytając tę „pieśń człowieka, brnącego przez pola z ciężarem słów na grzbiecie“, wzruszamy się nieraz do głębi: takie np. wiersze, jak „Miłość“, „Pogrzeb“ czy niektóre fragmenty „Zwycięstwa“ (zwłaszcza pełen dramatyczności finał) pozostawiają niezatarte wrażenie. Środki ekspresji w zestawieniu z pierwszą książką bardziej celowe i proste, choć i tu nie brak zestawień dziwacznych, zaciemniających myśli autora. Uderza pewna maniera łączenia w skrócie metaforycznym konkretów z abstraktami („toból żalu“, „kosze snu“, „brzemiona mroku“, „złom mroku, „dźwigając przecucie zmierzchu na barkach“, „pożaru złom“).

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

N O T Y

ENTUZJASTYCZNY DWUGŁOS O GAŁCZYŃSKIM znajdujemy w Nr. 13 „Prosto z Mostu“ Piszą Bolesław Miciński i Józef Czechowicz, podkreślając wysokie walory „roboty poetyckiej Konstantego Ildefonsa“, Miciński uważa, że tajemnicą twórczości Gałczyńskiego jest zdumiewająca zdolność uchwytywania i utrwalania pierwotnej fazy twórczego procesu, gdy pisarz ma w swym umyśle mgławicę, chaotyczną plątawę wyobrażeń i niejasny jeszcze zarys swej koncepcji. Czechowicz zachwyca się fantastyką tego poety, wywodząc ją z Andersena, Swifta i Hoffmana. Oba artykuły, aczkolwiek zbyt superlatywne, bezwzględnie pożyteczne i może przyspieszą nareszcie ukazanie się zbiorku poezji Gałczyńskiego, znanego dotąd tylko z czasopism.

MAURIAC W ZWIERCADLE ANTYSEMICKIEM. W № 17 „Prosto z Mostu“ zamieszczono artykuł wstępny Ad. Doboszyńskiego p. t.

„O Mauriacu czyli o niedobrym katolicyzmie” Autor dowodzi, że Mauriac to „człowiek, który gubi dusze”, że swym pesymizmem odstręcza raczej od katolicyzmu i że został on celowo rozreklamowany przez „cały moższowo-wszechświatowy klan” jako pisarz katolicki. Przy sposobności dostało się Maritainowi i Gide'owi, w których p. Doboszyński weszy Żydów. Artykuł spotkał się z druzgocącą repliką Kazimierza Wyki w №18 „Tygodnika Ilustrowanego”

W № 13 „TYGODNIKA ILUSTROWANEGO” spotykamy wzruszający pean Jana Wiktora na cześć urody Pieniń i idei Parku Narodowego, chroniącego pierwotne, nieskażone piękno gór. Tak piszą prawdziwi poeci, gdy inni w l. K. C. (patrz „Noty” w № 7 „Kamenny”) unoszą się nad europejskością kolejki linowej na Kasprowy.

WIELKANOCNY NUMER „WIADOMOŚCI LITERACKICH” przynosi między innymi oryginalne wiersze dla dzieci J. Tuwima i przekłady z „Bajek” K. Czukowskiego. Redakcja celowo zapewne zamieściła te rzeczy na dwóch sąsiednich kolumnach. Możemy stwierdzić, że wiersze Tuwima, oparte na doskonałych efektach onomatopeicznych bynajmniej nie ustępują utworom Czukowskiego, jeśli nawet ich nie dystansują. Swoją drogą Broniewskiemu niezbyt się udał przekład bajki „Fiedorino gorie” („Strapienie Małgorzaty”). Prawda, trudno jest oddać takie np. miejsca oryginalne, jak „Kud-kuda-kud-kuda, wy otkuda i kuda?” czy „Ko-ko-ko! Ko-ko-ko. Żit' wam było nielegko” albo „Oj, gorie Fiedorie, gorie”, ale takich np. potknięć rytmicznych: „A do smolucha-koemolucha nie wrócimy” (w oryg. „A k nieriachie-zamariachie nie worotimsia domoj”) należało uniknąć.

DWUTYGODNIK WILEŃSKI „POPROSTU” został przez władze zawieszony. O czynnikach, które wpłynęły na to zarządzenie jak i o niebawym sukcesach pisma, wychodzącego w nakładzie 9 tysięcy egzemplarzy, informuje obszernie w № 20 „Wiadomości Literackich” Jerzy Wyszomirski.

FALA ARESZTOWAŃ POLITYCZNYCH w końcu marca nie ominęła i świata literackiego. Jak donosi „Robotnik”, uwięziono poetę lewicowego Leona Pasternaka, którego ostatni zbiorek omawiamy na innym miejscu.

NAKLADEM INSTYTUTU LITERACKIEGO ukazał się jeden z dwunastu tomów edycji zbiorowej pism Stanisława Brzozowskiego p. t. „Kultura i życie”. Podjęcie tego wydawnictwa w 25 rocznicę śmierci wielkiego krytyka i nauczyciela narodu polskiego jest największą rehabilitacją krzywdy, wyrządzonej przy końcu życia świetnemu pisarzowi.

UKRAIŃSKI INSTYTUT NAUKOWY z okazji 75-lecia śmierci Tarasa Szewczenki wydał pod redakcją P. Zajcewa tom poezji wieszca ukraińskiego w przekładach szeregu dawniejszych i współczesnych pisarzy. Książka wydana z wielkim pietyzmem, opatrzona ilustracjami, przedmową i wyczerpującymi przypisami, przyczyni się niezawodnie do rozpowszechnienia na gruncie polskim znajomości Szewczenki.

PRAWDZIWYM EWENEMENTEM jest debiut Tadeusza Peipera w zakresie .. powieści. Utwór „Ma lat 22” to pewnego rodzaju dokument psychologiczny, ilustrujący proces rozwoju i krystalizowania się duszy młodzieńczej w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny światowej. Lata szkolne, okres dojrzewania, sublimacja popędu płciowego w pracy ideowej, P.P.S.D., uniwersytet, działalność w Strzelecu, przeżycia miłosne — aż do momentu zwrotnego w życiu bohatera, wywołanego konfliktem rodzinnym i zamierzonym wyjazdem zagranicę. Rzecz, pisana z dużym znanstwem psychoanalizy jest, jak widać z zakończenia i podtytułu (Z serji „Poprzez lata”), — początkiem zakrojonego na większą miarę cyklu. Nowatorstwo Peipera na terenie powieści jest naogół umiarkowane, zaznacza się głównie w grafice (kursywa w przytoczeniach, czasem przerwy w jednej linii, oddzielające zdania bardziej odległe pod względem treści), miejscami w zwrotach bezpośrednich autora do bohatera, lub w sposobie kreślenia pewnych sytuacji. Ze przytoczymy tu nakładanie kontrastowych obrazów w opisie balu dobroczynnego na ofiary caratu. Ziesiątą styl klarowny, język surowy w swej prostocie, jakby celowo ubogi w figury stylistyczne, w które tak obfitują poezje Peipera.

NA RYNKU WYDAWNICZYM POEZJI daje się zauważyć ostatnio znaczne ożywienie: Błakowiczówna wystąpiła z nowym tomem poetyckim

„Słownik litewski”, Napierski po „Ziemi, siostrze dalekiej” wydał pierwszy tom przekładów z „Liryki niemieckiej”, Czechowicz ogłosił zbiorek „Nie więcej”, Flukowski „Dębem rosne”, Fik — „Plakaty na murze”, Pięta — nowy poemat „Ziemia odpływa na zachód”, Jasiński po biblijolski wydany zbiór wierszy morskich „Papierowym okrętem”, Kasperski — „Przemiany”, Esowcy: Kott „Podwojony świat”, Pietrzak — „Prawo drapieżne”, Pietrkiewicz opublikował poemat „Prowincja”. Z przekładów notujemy trzech poetów rosyjskich: Gumiliowa, Chlebnikowa, i Paster-naka („Z nowej liryki rosyjskiej”) w interpretacji Pollaka, wybór poezji Otokara Brzeziny w tłumaczeniu Madeja, utwory wybrane Valery’ego w przekładzie Kolonickiego i Arona Cotrusa w spolszczeniu Lewika. — kaj—

ANTOLOGJA POEZJI ROSYJSKIEJ Za najdonioślejszy wypadek ostatnich miesięcy w rosyjskiej literaturze emigracyjnej należy uznać wydaną niedawno w Paryżu antologję poezji rosyjskiej w diasporze. Redaktorzy antologii po raz pierwszy zebrali w niej tak licznie i zestawili wiersze współczesnych poetów rosyjskich, żyjących na emigracji. Nie wszyscy czytelnicy polscy wiedzą, że D. Miereżkowskij rozpoczął swoją działalność literacką od wierszy i zachował dotychczas (w zeszłym roku święcił swój 70-letni jubileusz) świeżość talentu poetyckiego. Antologję rozpoczyna właśnie jego wiersz, kto wie, czy nie najlepszy w całym zbiorze. W pierwszej części antologii zebrano wiersze pisarzy pokolenia starszego, którzy zaczęli pisać jeszcze w Rosji. Są tu: D. Miereżkowskij, Wiacz. Iwanow, Zin. Gippius, I. Bunin, K. Balmont, I. Siewierianin, M. Cwietajewa, W. Chodasiewicz, członkowie drugiego gumilowskiego cechu poetów: G. Iwanow, N. Ocup, G. Adamowicz, I. Odojewcewa i in. W następnych częściach antologii znajdują się wiersze poetów młodszych, który wystąpili dopiero na emigracji: mieszkających w Paryżu, praskiej grupy „Skit”, berlińskiej, poetów z Dalekiego Wschodu i in. rozrzuconych po różnych krajach, — razem 77 nazwisk. Większość poetów paryskich to lirycy czystej krwi, wywodzący się z najlepszych poetyckich tradycji. Wśród nich najwybitniejsze miejsca należą do D. Knuta, A. Ładinskiego, W. Smoleńskiego i in. Osobno stoją N. Gronskij (patrz artykuł o nim w Nr. 5 „Kameny”), B. Popławskij (reprezentowany w antologii dość wyraźnie) i bliski mu A. Gingier. Ciekawym zjawiskiem jest grupa praska „Skit”, przykład zbiorowo tworzonego stylu literackiego. Ci nowatorzy nie eksperymentują zewnętrznie nad formą wiersza, lecz dopracowują się jej od wewnątrz, drogą poszukiwań i dociekań na polu stylistyki i eidologii. Najciekawszy z nich to Emilja Czegrinciewa, T. Ratgauz, A. Golowina.

STANISŁAW DĄBROWSKI: PISANKI LUBELSKIE Ilustrował Janusz Świeży. 46 linorytów i 20 tablic litografowanych, Lublin. Skład główny w księgarni św. Wojciecha Lublin—Poznań—Warszawa—Wilno, 1936. Wydano z zasiłku Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej. O potrzebie omawiania i inwentaryzacji okazów sztuki ludowej przekonywać nie potrzeba. Dziedzina moeno u nas zaniedbana, a warta notatek, choćby ze względu na swój rodowód, czas pojawienia się i trwania zjawiska. A ponieważ nie może u siebie pozwolić na specjalistów w tej dziedzinie — z braku środków materialnych, nie ludzi — łowimy więc skwapliwie wypadki zmudnego, dorywczego szperania, zbierania i klasyfikowania eksponatów, podkreślając zasługę Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej, który subsydował to wydawnictwo. Więcej są ludzie, których tego rodzaju prace pasjonują bez względu na ciężkie warunki codziennej pracy zawodowej, pochłaniającej gros ich wysiłków. Do nich zaliczamy i Stanisława Dąbrowskiego, znanego miłośnika sztuki (patrz Nr. 2. II. „Kameny”), którego akcji należy przyklasnąć jako wzór do naśladowania. Treścią książki omawianej, pełnej przejrzystych ilustracji motywów pisankowych i samych pisanek, jest pisanka na tle twórczości ludowej, sposoby jej wykonywania w 10 powiatach Lubelszczyzny, rola w obyczajowym życiu ludu i, co najważniejsze, podział i racjonalna klasyfikacja ozdób według linii zasadniczego podziału, motywów swastyki, krzyża, trikwetru, linii, opasek, słońca, gwiazd oraz drzewa życia. Rozdział ów uważamy za szczególnie pomyślaną oś zagadnienia. Ileż to pomysłów w budowie i rozwiązaniu płaszczyzn! Jaka kopalnia dla wzorów tkackich i ornamentyki stosowanej! Słowa te poddajemy rozważce tym, którym leży na sercu renesans sztuki ludowej, zaniedbanej dziś i zapomnianej, mimo tak wielu rzucanych ex cathedra hasel powrotu do twórczości rodzimej. —zw—

„WESELE LUBELSKIE”, dwukrotnie wystawione w Chełmie 30 marca, cieszyło się zasłużonym powodzeniem. Proste a celowe dekoracje, doskonale przemyślana plastyka ruchów, ilustrujących smętne prze-ważnie piosenki, dobra muzyka i swoboda oraz pewność domorosłych aktorów — złożyły się na całość bezwzględnie zasługującą na uznanie. Podziwiać należy wyniki, osiągnięte przez reżysera p. dr. St. Papierkow-skiego i kierownika muzycznego p. B. Niteckiego, którzy w przeciągu dwóch tygodni potrafili z surowego materiału, jakim rozporządzali, stworzyć widowisko, stojące na poziomie artystycznym.

W KWIETNIU odbyło się walne zebranie członków Związku Lite-rackiego w Lublinie. Wybrano nowy zarząd z Józefem Łobodowskim jako prezesem. Uchwalono wydawanie kwartalnika ściśle związkowego p. t. „Strefa”, który prenumeratorowie „Kamery” otrzymywaliby jako bezpłatny dodatek.

— kaj —

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. PAW. H. w WARSZAWIE. Dziękujemy. Część prze-kładów z niemieckiego pójdzie w jednym z numerów jesiennych.

P. JUL. W. w KRAKOWIE. Dziękujemy. Część zamieścimy.

P. JAN H. w WILNIE. Wiersz „Wierzb gałęziami świt płynął bystro“... zatrzymujemy w tece.

P. JÓZ. OD. w LUBLINIE. Z łaskawie nadesłanego wiersza nie skorzystamy.

P. WAC. IW. w WARSZAWIE. Część zamieścimy w je-siennych numerach.

N A D E S Ł A N E

CLAUDEL, GIDE, VALÉRY — PO POLSKI. Wybór dzieł z lite-ratur obcych, tłumaczonych na język polski, jest naogół przypadkowy i nie odpowiada żadnym kryteriom. Temi trzebaby umotywo-wać fakt, że istnieją przekłady powieści i sztuk teatralnych pióra podrzędnych pisa-rzy zagranicznych, niema zaś wielu dzieł i wielu nazwisk, które czyta-jącemu ogółowi polskiemu stanowczo powinny być znane. Owocem świa-domej działalności, ku temu właśnie celowi skierowanej, jest wydanie w ostatnich dniach przez miesięcznik „Droga” trzech książek czołowych pisarzy francuskich, znanych na naszym gruncie jedynie z ogólnych artykułów w prasie literackiej, oraz z pobieżnych notatek i recenzyj. Mamy tu na myśli twórców tej miary, co Valéry, Claudel i Gide.

„Młodość Violeny“ Claudela ukazała się jako 11-ty tom Biblioteki Dramatycznej Drogi. Sztuka ta jest jednym z głównych dzieł Claudela, utrzymanem w tonie wielkiego poematu dramatycznego i pełnem głębo-kiej problematyki; treść jej stanowi powołanie człowieka, pojmwane w duchu najistotniej katolickim.

„Persefona“ Gide'a (Biblioteka Dramatyczna Drogi, Nr. 12), opa-trzona przez autora podtytułem „melodramat“, jest wspaniałą, pełną kla-sycznej poetyckiej prostoty transpozycją wiecznego mitu ziemi, ujętą w nowatorskie, eksperymentalne kształty libretta operowego, na którym oparł się jeden z najwybitniejszych kompozytorów współczesności.

„Utwory wybrane“ Pawła Valéry prezentują wszystkie dziedziny twórczości tego największego poety dzisiejszej Francji; mamy więc tutaj: dwadzieścia utworów poetyckich, poematy prozą, rzecz sceniczną p. t. „Semiramida“, oraz fragmenty prozy krytycznej, tak wysoko u Valéry'ego cenionej. Obszerny i wyczerpujący wstęp „Paweł Valéry, poeta i filozof“ napisany został przez młodego poetę, Romana Kolonickiego, który do-konał również przekładu omawianych tu dzieł Claudela, Gide'a i Va-léry'ego.

Przekłady te raz jeszcze dobitnie świadczą o potrzebie utrzymania łączności literatury polskiej z zachodem i stanowią dowód wysokich aspi-racji kulturalnych, nie ograniczających się wyłącznie do kultuwowania twórczości rodzimej.

PROTEST PISARZY WARSZAWSKICH

„Solidaryzujemy się z protestem proletariatu Lwowa przeciwko krwawym rozprawom z robotnikami, walczącymi o pracę, chleb i wolność.

Prezydjum Komisji Literackiej

przy

Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela

Baczyński Stanisław

Broniewski Władysław

Miller Jan Nepomucen

Rogowicz Waclaw

Wolica Andrzej

Boguszewska Helena, Burdecki Feliks, Burek Wincenty, Degał Alfred, Dobrowolski Ryszard Stanisław, Grodzieńska Wanda, Kellert Jerzy, Kornacki Jerzy, Kuczyński Bogusław, Lec Stanisław Jerzy, Melcer Wanda, Pollak Seweryn, Rey Sydor, Raduski Władysław, Strug Andrzej, Szemplińska Elżbieta, Słobodnik Włodzimierz, Szenwald Lucjan, Siedlecki Franciszek, Schürer Emil, Szymański Edward, Twardowski Jan, Wasilewska Wanda, Wat Aleksander, Ważyk Adam, Wojczyńska Czesława, Wyka Jan.

Czarnowski Stefan Zygmunt prof. U. W.

Lindenbaum docent U. W.

Ossowski Stanisław docent U. W.

Rajchman Aleksander prof. Woln. Wszech. docent U.W.

Bobowski Zygmunt, Gede Kazimierz, Herman Józef, Kudła, Linke Bronisław, Nadelmanówna, Themerson Franciszka, Żarnowerówna Teresa“.

„Spowodu zamiany pisma na dwutygodnik i ogólnej reorganizacji, najbliższy numer „Lewara“ ukaże się w dniu 15 maja pod redakcją Komitetu: St. R. Dobrowolski, B. Budziński, Em. Schürer, Fr. Siedlecki, Elżb. Szemplińska i Jan Wyka.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 59 m. 2, tel. 630-92“.